

Artur

Sandauer

O sytuacji

pisarza polskiego

poходzenia

żydowskiego w XX

wieku

(Rzecz, którą
nie ja powinienem
był napisać...)

Czytelnik

O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku (Rzecz, którą nie ja powinienem był napisać...)

Artur Sandauer

Rozdział I

PREHISTORIA ZAGADNIENIA

Nie jest to historia wkładu Żydów we współczesną kulturę polską; ma to być - na tle dziejów powstałej w XX wieku grupy społecznej Żydów-Polaków - opis warunków, w jakich ich asymilacja się dokonywała oraz reakcyj psychicznych na te warunki. Nie obowiązuje więc żadna kompletność, jeśli chodzi o nazwiska jednostek twórczych; jedyne, co obowiązuje, to kompletność w opisie sytuacji.

Znajdą się zapewne tacy, którzy samo postawienie problemu uznają za shocking. Niniejsza książka - powiedzą - już w samym swym tytule stawia zagadnienie pochodzenia. Jest to jednak założenie rasistowskie; nie można w nikogo wmuszać przynależności, której przyjąć nie chce. I jakże w ogóle ją ustalić? Czyżby wrócić do niesławnej pamięci badań pochodzeniowych? A przecież jedynym czynnikiem, który winien tu decydować, jest samookreślenie jednostki.

1. Sprecyzowanie tematu

Czy jednak rzeczywiście - decyduje samookreślenie? Czy nie wolno nam zaliczyć kogoś - nawet wbrew jego woli - do jakiejś grupy społecznej, narodowej itp., jeżeli przemawiają za tym dane obiektywne? Czy metoda określania od zewnątrz jest całkowicie do odrzucenia? Stosuje ją w znanym studium o antysemityzmie - nie podejrzany przecie o rasizm - Sartre: Żydem jest powiada ten, kogo mają za Żyda.

Gdybyśmy chcieli poprzestać wyłącznie na samookreśleniu, musielibyśmy przyjąć za dobrą monetę wszystko, co dana jednostka mówi o sobie: otóż nie zawsze mówi ona prawdę. Mogą przecie, jeśli o twórczość literacką chodzi, istnieć dokumenty zatajone, które wyjdą na jaw dopiero po śmierci; utwory, do których dostęp bywa utrudniony, jak np. nie ogłoszona dotąd *Pieśń o biciu* Juliana Tuwima.

Poprzestając na metodzie samookreślenia, musielibyśmy, co dalej, ignorować całe fragmenty biografii. Wyobraźmy sobie, że ktoś, kto dziś o swym pochodzeniu mówi raczej niechętnie, musiał się za okupacji ukrywać, ponieważ określił go w ten sposób okupant. Fakt ten musiał - zobaczymy to za chwilę na przykładzie - odcisnąć piętno na jego twórczości. Nie możemy więc pominąć milczeniem owego określenia od zewnątrz, czyli spojrzenia drugich, chociaż- zdajemy sobie sprawę z ryzykowności tego podejścia.

Określenie od zewnątrz może być oparte na dwojakich danych: a) pochodzeniowo-metrykalnych, b) fizjologiczno-psychologicznych. Pierwsze stosuje np. ustawodawstwo rabiniczne, które za Żyda uważa każdego, kto ma matkę Żydówkę; stosuje je też - należy przypuścić - *Encyclopaedia judaica*, która w rozdziale, poświęconym wkładowi Żydów w literaturę polską, wymienia np. Różewicza czy Woroszylskiego, autorów, którzy - o ile wiem - nigdzie o tym nie wspominają. Wydaje się, że wysuwanie twierdzeń pochodzeniowych - i to bez podania źródeł - dalekie jest od precyzji naukowej, poza tym zaś - pachnie rasizmem.

Drugi typ określania od zewnątrz polega na dorywczych spostrzeżeniach o charakterze fizjologiczno-psychologicznym, czyli na odkrywaniu tzw. cech typowych. Mimo że ten sposób definiowania budzi w nas sprzeciw, musimy przyznać, że uogólnienia tego rodzaju są obiegowe, że więc ignorować je znaczyłoby - ignorować rzeczywistość. Posługując się nimi tu i ówdzie, musimy sobie zdać jednak

sprawę z ich nieprecyzyjności: zawsze przecie przykładowi na jakąś tezę można przeciwstawić przykład wręcz przeciwny.

„Żydzi - powie ktoś - są mózgowcy”. „A Chagall?” - powie kto inny. Wszelkie takie określanie zakłada, co gorsza, pewien stopień niezyczliwości. „Omnis determinatio negatio est” - powiedział Baruch Spinoza. Każda próba scharakteryzowania danej istoty polega na ukazaniu jej ograniczeń, jest więc próbą zaprzeczenia. Mówić o cechach typowo żydowskich to - już otwierać drogę do rasizmu. A jednak - powtarzamy raz jeszcze - ów typ charakterystyki nie da się odrzucić całkowicie, jak w ogóle nie można myśleć, nie stosując raz po raz nieprecyzyjnych uogólnień.

W zasadzie jednak - będziemy w studium niniejszym opierać się na samookreśleniu jednostki. Zajmować się będziemy - jeśli nie wyłącznie, to głównie - tymi autorami, którzy w swym piśmarstwie lub w innych dokumentach stawiają ten problem sami. „Dla krytyka - pisałem niedawno - sprawy te nie powinny się liczyć tak długo, dopóki nie pojawiają się w kręgu zainteresowań samego pisarza. Z tą jednak chwilą muszą się stać przedmiotem również i jego badań. Z biograficznego- zagadnienie staje się wówczas literackim”.

Ale i tak - sprawa samookreślenia literackiego wymaga wyjaśnień dodatkowych. Powstają mianowicie dwa pytania: pierwsze, które dotyczy miejsca, drugie, które dotyczy sposobu, w jaki samookreślenie to zostało dokonane. Jeśli o miejsce chodzi, autor mógł się określić w twórczości: wówczas jest to wyznanie pełnocenne, świadczące, że problematyka pochodzeniowa rzeczywiście dlań istniała. Mógł to uczynić mimochodem, w liście, w rozmowie: wówczas ma wartość mniejszą, może np. stwierdzać nieważność tej sprawy dla pisarza. Jeśli chodzi o sposób: autor może stawiać to zagadnienie w sposób mniej lub bardziej zakamuflowany.

Przy okazji tego zakamuflowania chciałbym postawić zagadnienie polskich „maranów”. Marani byli to Żydzi, którzy - po ogłoszeniu nakazu opuszczenia Hiszpanii w 1492 r. (wyjątek czyniono tylko dla wychrztów) - pozostali w kraju tym nadal, przy czym niektórzy nie wyrzekli się ani poczucia przynależności, ani wiary praojców, lecz nadal hołdowali „zabobonowi żydowskiemu”: ci, przyłapani, dostawali się w ręce Świętej Inkwizycji.

I w Polsce mamy maranów, którzy z pochodzeniem tym wolą się nie zdradzać. Oczywiście, mogą być tacy, jak Leśmian, którzy po prostu niewiele mają z nim wspólnego; są jednak i tacy, którzy nie są pod tym względem konsekwentni. Oto np. reżyser, który nie wspomina o swym pochodzeniu w Polsce, eksponuje je natomiast za granicą. Oto autor, który protestuje gwałtownie, gdy redakcja słownika pisarzy chce uwidocznic w nawiasie jego poprzednie nazwisko. (Z uwagi na drażliwość osobistą sprawy odstępuję tym razem od zasady wymieniania nazwisk).

A oto inny objaw „maranizmu”. Ktoś wspominając o swym pochodzeniu czyni to w sposób tak zakamuflowany, że nie lada trzeba bystrości, aby rzecz odcyfrować. Iluż to lat trzeba było, by odczytać - zakodowane w zwrotce *Dziadów* o „matce obcej” i o jej synu Adamie, ukazanym przez litery D i M, które w języku hebrajskim znaczą 44 - przyznanie się Mickiewicza do matki Żydówki¹.

A i trudno się dziwić! Za pochodzenie takie płacono drogo, a ludzie są tylko ludźmi. Ale nie mówcie mi w takim razie, że jest ono jak każde inne, gdy żyjemy w kraju, gdzie zagazowano za nie 6 milionów

¹ Zob. mój artykuł: *Nie czy, lecz – po co „Z matki obcej”*, „Życie Literackie” 1981, nr 36.

ludzi. Problem należy postawić; należy poruszyć śpiące piekło, wywołać demony z otchłani. Pochodzenie to ma wokół siebie aurę, której ignorować nam nie wolno.

2. Geneza antysemityzmu

Niektórzy zechcą tę aurę określić jako antysemitkę; w zainteresowaniu tym mogą być jednak i elementy życzliwości. Proponuję zatem stworzenie nowego terminu „allosemityzm”: polega on na wyróżnianiu tego pochodzenia, na przeświadczeniu o jego wyjątkowości i stanowi ogólną bazę, z której można wysnuć zarówno anty-, jak i filosemickie wnioski.

Spróbujmy określić genezę owego allosemityzmu. Tym, co dziejom Żydów nadaje piętno wyjątkowości, jest ich - dokonane jeszcze w praczasach - samookreślenie. Jedyne to mianowicie spośród ludów starożytności, który wyznaje od początku swej historii wiarę nie w przyrodnicze bóstwa, lecz w Duchowego Boga, stwórcę przyrody. „Na początku stworzył Pan” - już tego wprowadzenia wystarczy, by unaocznic dzielącą ich od innych ludów antycznych przepaść.

Świadomość, że Bóg ich jest odmienny i wyższy, daje im poczucie wybraństwa. Rozsypani bardzo licznie wśród ludów śródziemnomorskich, do żadnego nie asymilowali się całkowicie: nie pozwalała im na to -właśnie owa - wynikała z monoteizmu - świadomość wybraństwa. „Oto naród osobny, który z drugimi się nie kuma” - mówi na widok namiotów synów Izraela wysłany ze zleceniem ich przeklęcia wieszczek moabicki, Balaam, któremu mimo woli wyrrywają się z ust słowa błogosławieństwa (*Ks. Liczb. XXII, 22*).

To „niekumanie się” nie mogło nie wywołać niechęci u innych ludów. Przyzwyczajone do wzajemnej tolerancji, nie rozumiały one oporu Żydów wobec najbardziej - w ich mniemaniu - uzasadnionych żądań: oddawania kultu ich bóstwom względnie osobom panującym. Kiedy Kaligula zażądał stawiania sobie posągów w świątyniach, wszyscy podporządkowali się - prócz Żydów. Wywołało to serię prześladowań ze strony zamieszkających w Aleksandrii Greków. Rzecz skończyła się nadspodziewanie szybko na skutek zamordowania Kaliguli.

Zarzuty, jakie stawia się Żydom w starożytności - a stawiają je tak wielcy pisarze, jak Tacyt - wynikają z niechęci wobec ich religijnego fanatyzmu, obcego Grekom czy Rzymianom, nie mającym nic przeciwko temu, by Panteon ich został powiększony o dowolną ilość bóstw: był to gest wzajemnej politycznej kurtuazji.

Niechęć ta nie miała jednak żadnej motywacji ideologicznej. Starożytni nie doznawali na widok Żyda owego mistycznego wstrząsu, który leży u dna wszelkich uczuć anty- czy - szerzej - allosemickich. Te są bowiem - jak zobaczymy za chwilę - przeżyciem natury demonologicznej.

Stosunek do Żydów chrześcijaństwa nie był - powtarzam - jednoznacznie nienawistny. Były tam obok nienawiści - i elementy biegunowo przeciwne: był nabożny lęk, był respekt, było przekonanie o ich wyższości, przeświadczenie, że będąc Żydem jest czego się wstydzić, ale i jest z czego być dumnym. Oto typowo allosemicki fragment współczesnego pisarza polskiego. W swym *Dzienniku* (1953-1956), (s. 121) Witold Gombrowicz polemizuje z Żydami, którzy pochodzenie swe uważają za normalne:

„Gdy słyszę z ust tych ludzi, że naród żydowski jest jak inne, odczuwam to mniej więcej tak, jak gdybym słyszał Michała Anioła twierdzącego, że niczym się od nikogo nie różni (...) Niestety, ci, którym dano prawo do wyższości, nie mają prawa do równości (...) Nie ma narodu bardziej oczywiście genialnego (...) Geniusz żydowski jest oczywisty w samej swej strukturze, to jest w tym, że podobnie

jak genialność indywidualna jest najściślej połączony z chorobą, upadkiem, poniżeniem. Genialny dlatego, że chory. Wyższy, gdyż poniżony. Twórczy, bo anormalny (...) Historia tego narodu jest tajną prowokacją, podobnie jak biografia wszystkich wielkich ludzi - prowokacją losu, ściąganiem na siebie wszystkich klęsk, jakie mogą się przyczynić do spełnienia misji... narodu wybranego (...) Więc grozy tej nie załatwicie wyobrażając sobie, że jesteście «zwykli» i karmiąc się idylliczną papką humanitarną (...)"

Tekst - jak na Gombrowicza - nieomal mistyczny, nieomal chrześcijański. A bo też, rzeczywiście, chrześcijańskie pojmowanie roli Żydów ma w sobie element mistyczny. Nie jest tajemnicą, że właściwy inicjator tej religii, św. Paweł z Tarsu, stawiał - podczas swych wczesnych podróży misyjnych po Małej Azji i Grecji - głównie na Żydów jako na ewentualnych emisariuszy Dobrej Nowiny. Ewangelia posłana jest - pisał wtedy w *Liście do Rzymian* (Rz. i, 16) - dla wszystkich po równi, lecz „najpierw dla Żyda, potem dla Greka”.

Nadzieje te rozchwiały się z chwilą, gdy w 67 r. przybył do Rzymu. Po kazaniu w tamtejszej gminie żydowskiej „jedni dali się przekonać o tym, co mówił, drudzy nie uwierzyli” (*Dzieje apostołskie*, XXVIII, 24). Ci ostatni stanowili przypuszczalnie większość, skoro apostoł rozstał się z nimi w gniewie. „Wiedziecie, że to słowo posłane jest do pogan, a oni słuchać będą” (tamże, XXVIII, 28). To - zamykające *Dzieje apostołskie*- zdanie oznacza przełom w polityce św. Pawła, a co zatem i Kościoła, wobec Żydów.

Przetrwało, oczywiście, przekonanie, że *Nowy Testament* to dalszy ciąg *Starego*, że Żydzi to naród wybrany; naród ten nie stanął jednak na wysokości zadania, nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Rozczarowanie, jakiego doznał św. Paweł w gminie rzymskiej, zostaje uogólnione na wszystkich Żydów: stać ich było na to, by wydać Boga ze swego łona, lecz nie na to, by weń uwierzyć. Siedzieli - niczym zbuntowany archanioł - po prawicy Pana, lecz zostali strąceni.

Europa chrześcijańska demonizuje zatem Żydów: są tym groźniejsi, że byli kiedyś wybrani i że wybraństwo to odrzucili. Jest rzeczą znamionną, że demonizacji tej nie znają kultury islamu: dla nich Żydzi nie są narodem bogobójców, ponieważ Jezus nie jest Bogiem. Między Żydami a Arabami może istnieć - jak w chwili obecnej - wrogość natury politycznej; nigdy jednak nie będzie wrogości metafizycznej. Dla średniowiecznych chrześcijan Żyd to Szatan; nawet ikonografia demona - haczykowaty nos, kędzierzawe włosy - wydaje się wzorowana na typie semickim.

Wynikiem demonizacji, dokonanej na Żydach, jest zjawisko o wiele groźniejsze od ogólnikowej niechęci, z jaką spotykali się w starożytności. Teraz znalazła ona sobie ideologię: jest nią przeświadczenie o ich wyjątkowości, o magicznej ambiwalencji ich losów. Jest to naród sakralny w owym podwójnym sensie, jaki słowu „sacer” nadaje łacina, naród święto-przeklęty. Ta jest historyczna geneza chrześcijańskiego allosemityzmu, któremu kres położył dopiero sobór Jana XXIII.

3. Stosunek do Żydów w dawnej Polsce

Z krajów Europy średniowiecznej, gdzie nie ma katuszy, których by im nie zadawano - oskarżano ich i o mord rytualny, i o zatrucie studzien, i o bezczeszczenie hostii, wszystkim tym zaś oskarżeniom towarzyszyły rzezie - Polska okazała się najgościnniejszym. Pragnąc stworzyć surogat nie istniejącego rdzennego mieszczaństwa, Kazimierz Wielki ściągnął ich w 1334 r. szczególnymi przywilejami do

Polski². Przedtem byli tutaj tylko pojedynczy Żydzi. Najstarsze jednak monety nasze mają napisy hebrajskie: „Meszko Król”.

Dowodem życzliwości, z jaką się tu spotkali, jest znamieny fakt. Oto Żydzi każdą nową siedzibę określali nazwą, zaczerpniętą ze Starego Testamentu: a więc Spain zastąpili przez Sparad, France - przez Corfat itp. Taką fikcyjną etymologię znaleźli też i dla słowa „Polska” (Polin). Ma się ono składać z dwu wyrazów: „po” (tu) i „lin” (spocznij). Przez trzy stulecia - do wojen Chmielnickiego mianowicie - Polska była rzeczywiście krajem, gdzie Żydzi mogli odpocząć.

Polska ówczesna nie zna dyskryminacji Żydów na skalę zachodnioeuropejską. Jeżeli zdarzają się czasem rozruchy, to mają charakter „zbytków”: historycy wspominają o urządzanych przez krakowskich żaków burdach. Na ogół mogą jednak żyć spokojnie, rozwijając swą kulturę w obu językach: w odświętnym, hebrajskim i w potocznym dialekcie niemieckim, który - nasiłkając hebrajskimi i polskimi wyrazami - da „jidysz”.

Stosunek władz polskich do Żydów kształtuje się pod przemożnym wpływem ideologii kościelnej. Odziedziczone po Kościele uczucia mieszane wobec narodu święto-wyklętego znajdują wyraz nawet w ustawodawstwie. Daje ono Żydom przywilej, jakiego nie ma mieszczanin ani chłop; przyznaje im mianowicie indygenat w razie, gdyby się nawrócili na wiarę chrześcijańską, odwołując grzech bogobójstwa. Prawo to znajduje echo w wierszu *Żydowie polscy* Norwida:

Boć herbem gdy z wami szlachetny się łamał,
Krzyż bywał w przełomie tym - i on nie kłamał!

Z tego przywileju korzystali jednak Żydzi nader rzadko. Jeden tylko znany wypadek nawrócenia się masowego: oto 500 rodzin żydowskich - pod wodzą. Jakuba Franka, który zgodził się uznać boskość Jezusa zamiast wyznawanego dotąd pseudo-Mesjasza z Salonik, Sabataja Cwi - przeszło w 1751 r. we Lwowie na wiarę chrześcijańską i zostało przyjętych do herbów.

Dla kultury polskiej wydarzenie to miało znaczenie ogromne: wśród potomków po kądzieli nawróconej rodziny Majewskich miał się znaleźć Adam Mickiewicz. Oświadczenie na ten temat złożył dwukrotnie: raz - Ksaweremu Branickiemu, twierdząc, że matka jego jest „z wychrztów”³, raz w wierszu *Dziadów*, gdzie mówi o sobie jako o zrodzonym „z matki obcej”. I nie tyle sam fakt jest frapujący, co wstydlive jego przemilczanie; argument to na rzecz naszej tezy wstępnej, wedle której pochodzenie takie uważa się u nas za infamię.

Rzecz znamienna! Przeciw procesowi polszczenia się Żydów, któremu zawdzięczał - bądź co bądź - swe przyjście na świat, wypowiedział się sam Mickiewicz: uważał mianowicie ich obecność na ziemiach polskich w stanie oryginalnym, czyli - że tak powiem - „chałaciarskim”, za wartość bezcenną, której w żadnym wypadku tracić nie należy.

„Próżno - mówi w jednym z wykładów o literaturze słowiańskiej - dotąd usiłowano lud ten związać ze sprawą Polski, przyobiecując mu własność gruntową i dobrobyt materialny. Mógłże Izrael zapomnieć o tylu wiekach nędzy i całą swą pełną chwałę przeszłość sprzedać za kawałek ziemi? Jakże by to nawet

² Wśród przywilejów tych był zakaz oskarżania ich o mord rytualny, jako że „religia ich zabrania im spożywania krwi”.

³ Przedmowa do *Bramy pokuty* (przekłady z elegii hebrajskich), Paryż 1879.

nieszczęście było dla świata, gdyby ten lud, jedyny szczątek starożytnych szczepów, jedyny, co nigdy nie zwątpił w Opatrzność - dopuścił się apostazji!”⁴.

Przeciw polszczeniu się Żydów wypowiada się również pośrednio - ale z przyczyn zupełnie innych, powodowany nie filo-, lecz antysemityzmem - drugi wieszcz romantyczny, Zygmunt Krasiński: główną ostoję sił wywrotowych stanowią w *Nieboskiej komedii* przechrzty. Krasiński to okaz myśliciela prawicowego, broniącego wartości tradycyjnych; myślicieli takich cechuje nieraz większa przezierność niż postępowiczów, prawda zaś - jak zwykle - leży pośrodku.

Wyczuł on genialnie - chętnie mu to przyznaję - iż ci, których nazywa przechrztami, wyjdą niebawem z gett, aby swój - wyostrzony na talmudycznych studiach, podniecony przez prześladowania - umysł skierować ku całkowicie nowym problemom. Ujście dla nagromadzonej energii znajdą jedni w działalności literackiej, inni - w naukowej, jeszcze inni - w politycznej: poprą np. masowo Rewolucję Październikową, która im obieca równouprawnienie.

Rozdział II

ŻYDZI W POLSCE XX WIEKU

W wieku XX Żydzi stanowią olbrzymią siłę. Tu dochodzimy do sedna zagadnienia: nie o Żydach narodowych będziemy odtąd mówić, lecz o ludziach pochodzenia żydowskiego. Oni to potwierdzają tezę Krasińskiego o wywrotowej sile przechrztów, tezę Gombrowicza o ambiwalencji „genialności” i „poniżenia”. Stajemy tym samym wobec właściwego tematu naszego studium.

Wpierw jeszcze parę słów o polsko-żydowskich stosunkach pod rozbiorami. Ówczesna Polska jest krajem - kulturalnie - katolickim, cywilizacyjnie - opóźnionym, bo bez rdzennego mieszczaństwa, narodowo - uciemnionym przez sąsiadów. Fakt, że zaborcy są - poza katolicką Austrią, gdzie ucisk był najmniejszy - odmiennego wyznania, powoduje powstanie zrostu religijno-narodowego „Polak-katolik”, którego obydwie człony nawzajem się potęgują.

W okresie rozbiorowym istnieje jeszcze potrzeba pozyskania dla sprawy narodowej licznej mniejszości żydowskiej. Toteż każdy objaw polskiego patriotyzmu z jej strony natychmiast się podchwytuje i rozdmuchuje: przykładem poświęcony ich udziałowi w manifestacjach przedpowstaniowych znakomity wiersz Norwida *Żydowie - polscy*.

1. Przed pierwszą wojną światową

Już jednak teraz zarysowują się zarodki przyszłego konfliktu. Działają przeciw Żydom uprzedzenia religijne; działają też i - narodowe: oprócz Leśmianów czy Kleinerów są przecie i tacy, co się ruszczą czy też germanizują. Fala napływających po pogromach 1905 r. z Rosji uchodźców, czyli mówiących po rosyjsku „litwaków”, powoduje i u nas pierwsze pogromy.

Spółecznie wreszcie - są Żydzi jakimś ni to, ni sio, ni to narodem obcym, ni to klasą własnego narodu. Jako klasa - mają na pieńku i z chłopem, który zna ich jako arendarzy, i z robotnikiem, który zna ich jako fabrykantów czy jako „grajzlerów”, i z ziemianinem, który zna ich jako dostawców i, co najważniejsza, z mieszczaństwem rdzennym, które - narastając żywiołowo po 1863 r. - zastaje ich jako dobrze zainstalowanych na miejscu konkurentów.

⁴ Adam Mickiewicz *Literatura słowiańska. Kurs drugi*. Zob. Adam Mickiewicz *Dzieła*, Warszawa 1955, t. X, s. 422.

Za wyraz dążeń tego mieszczaństwa można uważać powstałe w 1897 r. Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne (endecję). Założycielem jego, wieloletnim wodzem i teoretykiem był Roman Dmowski, działacz, który potrafił katolicyzm pogodzić z politycznym amoralizmem i w którego słownictwie najczęściej powtarzającym się przymiotnikiem jest „bezwzględny”. Endecy - twierdzi on np. - „uderzają w komunały naiwnego lub fałszywego humanitaryzmu, wykazują, że naród ma przede wszystkim obowiązek dbać o swoje interesy, wyrokują bezwzględnie: „W stosunkach między narodami nie ma słuszności i krzywdy, jest tylko siła i słabość”⁵.

Zgodny z tymi założeniami, w myśl których narody silniejsze mają prawo deptać słabsze, które usprawiedliwiają więc np. rozbiory Polski, jest program stronnictwa. W punktach, odnoszących się do Żydów czytamy: „Żywiołu żydowskiego (...) stronnictwo nie uznaje za narodowo-polityczny, zwalcza wszelkie jego usiłowania polityczno-organizacyjne; pozostawiając jego uznaniu poddanie się lub nie asymilacji kulturalnej, żąda bezwzględnego uzależnienia się od interesów polskich”.

Wypowiadając wojnę Żydom, którzy by opowiedzieli się po stronie zaborców oraz obiecując tolerancję wobec tych, którzy by zajęli „stanowisko niezdecydowane”, program głosi jednak popieranie „akcji ekonomiczno-społecznej, mającej na celu usunięcie szkodliwej dla naszego rozwoju społecznego anomalii, która polega na opanowaniu przez Żydów całych dziedzin rozwoju ekonomicznego w naszym kraju” oraz usuwanie „szkodliwego wpływu Żydów z tych sfer życia społecznego, w których się on nadmiernie rozrósł”.

Najbardziej interesujący jest dla nas punkt trzeci. „Jednostki - czytamy tam - spośród Żydów, które przyjąwszy kulturę polską bez zastrzeżeń łączą się z naszym społeczeństwem w jego dążeniach narodowych nawet tam, gdzie idzie o ograniczenie roli społecznej żywiołu żydowskiego, stronnictwo uważa w zupełności za Polaków, równając je z resztą rodaków we wszystkich prawach i obowiązkach”⁶.

Przy całej swej pozornej otwartości punkt ten zapowiada już przyszłą ewolucję endecji ku koncepcji kultury zamkniętej, czyli ku rasizmowi. Stawia mianowicie owym „jednostkom” - a były to, jak się okaże za chwilę, nie jednostki, lecz setki i setki tysięcy - warunki, pod jakimi mogą być przyjęte do wspólnoty narodowej. Mają one: 1) przyjąć bez zastrzeżeń kulturę polską; 2) akceptować program endecki „nawet tam, gdzie idzie o ograniczenie roli społecznej żywiołu żydowskiego”.

2. W Polsce międzywojennej

Analizowany program jest reprezentatywny dla nastrojów znacznej części ówczesnego społeczeństwa polskiego. Związek Ludowo-Narodowy - bo taką nazwę przybrała chwilowo endecja - ma w pierwszym Sejmie z 1919 r. na ogólną ilość 444 miejsc aż 109 posłów, do czego należy doliczyć działające na terenie robotniczym endeckie ekspozytury: NPR z 15 i NSR z 17 przedstawicielami.

Po odliczeniu 49 posłów ze stronnictw mniejszościowych stanowi to na ogólną ilość głosów 395 o charakterze niemiejszościowym przeszło jedną trzecią (141 posłów). Innymi słowy, antysemicki program endecji wyznaje jedna trzecia ówczesnego społeczeństwa - nie mówiąc już o mniej ostentacyjnym antysemityzmie Chrześcijańskiej Demokracji czy „Piasta”.

⁵ Roman Dmowski *Pisma*, Częstochowa 1938, t. II, s. 220.

⁶ „Przegląd Wszechpolski”, Kraków, październik 1903.

Rzecz w tym, że powstała na ziemiach o ludności w znacznej mierze niepolskiej - białoruskiej, litewskiej, ukraińskiej, o miastach w znacznej mierze żydowskich, Druga Rzeczpospolita nie bardzo umiała się pogodzić z faktem posiadania aż 37% mniejszości narodowych, faktem - dodajmy - wysoce problematycznym, gdyż i ta cyfra, jeśli przyrzeć się uważnie *Rocznikowi Statystycznemu* z 1921 r., wydaje się mocno zaniżona i wynikała z nadgorliwości spisowawczy⁷.

Tym realiom geograficzno-narodowościowym przeczy już sama Konstytucja z 17 marca 1921 r., gdzie w artykule II czytamy: „Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej należy do Narodu”. Świadomie dwuznaczna ta formuła (naród? lud?) nie wymienia, o jaki naród właściwie chodzi. Chyba jednak - o polski, gdyż dla innych rezerwowano nazwę narodowości. Podobnie jak przyznawano swobodę wszystkim wyznaniom, zastrzegając wszakże miejsce przodujące dla Kościoła rzymskokatolickiego, tak przyznając równość wszystkim narodowościom, miejsce przodujące rezerwowano dla wyróżnianego dużą literą Narodu Polskiego. Odnajdujemy tu, słowem, znaną formułę, wedle której wszyscy są równi, ale niektórzy równiejsi.

Rzeczpospolita polska o tak dużym procencie innych narodowości musiała oczywiście być tworem nietrwałym. Zdawał sobie z tego sprawę obóz piłsudczykowski, który proponował zastąpienie „Narodu” przez „Państwo”. Była to jednak zamiana ściśle terminologiczna, która do niczego nie zobowiązywała. W praktyce - Druga Rzeczpospolita była oparta na ciągłej dyskryminacji mniejszości narodowych. Nie tylko o stworzeniu czegoś na wzór Czechosłowacji nie można było marzyć; nawet o stworzeniu Uniwersytetu Ukraińskiego we Lwowie nie mogło być mowy.

W okresie tym Żydzi są mniejszością najbardziej nie tylko upośledzoną, ale i prześladowaną. Nie tylko każdy rok akademicki zaczyna się od - i punktuje powtarzającymi się wciąż krwawymi rozruchami antysemickimi; nie tylko instaluje się dla Żydów oddzielne rzędy, czyli tzw. getta ławkowe; raz po raz wybuchają także pogromy - we Lwowie, w Przytyku. Sytuacja - już od lat dwudziestych napięta - zaostrza się w okresie, gdy idąca z Niemiec fala rasizmu zalewa Europę.

Wśród mniejszości narodowych Żydzi są wszelako jedyną, która jest aktywna na terenie kultury polskiej. Mówiliśmy, że wedle *Rocznika Statystycznego* z 1921 r. ok. 750 000 używa języka polskiego jako macierzystego. Otóż ci - w różnym stopniu spolonizowani - Żydzi stanowią przedmiot naszego studium: są bowiem jedyną mniejszością, z której wychodzą polscy pisarze.

Aby wyzwolić się z getta, Żyd ma wówczas dwie drogi: trudniejszą - poprzez emigrację, oraz łatwiejszą - poprzez polonizację. Mówiąc „łatwiejszą”, mam jednak na myśli sytuację sprzed pierwszej wojny światowej, kiedy w zyskiwaniu sojuszników dla sprawy polskiej było zainteresowane nawet Stronnictwo Narodowe. Po odzyskaniu niepodległości niedawni sprzymierzeńcy stali się niepotrzebni, ba! groźni jako konkurenci.

⁷ Rocznik posiada np. oddzielne rubryki dla wyznania i narodowości, lecz nie - dla języka. W ten sposób prawosławnych, mówiących po białorusku czy po ukraińsku, chłopów, którzy pojęcia narodowości nawet nie znali, a pytani o nią, odpowiadali „tutejszy”, można było spokojnie zapisać jako Polaków. W rezultacie dane, dotyczące wyznania i narodowości, okazują się całkowicie rozbieżne. Tak np. prawosławnych jest 11,2%, Białorusinów zaś tylko - 4%; obywateli mojżeszowego wyznania - 10,5%, Żydów - tylko 8%. Wynikałoby stąd, że 1.500.000 Białorusinów i 750.000 obywateli wyznania mojżeszowego podawało narodowość polską. Prawdziwość tych danych trudno dziś, oczywiście, sprawdzić.

3. Żydzi-Polacy i ich kulturalne znaczenie

Prąd asymilacji - jakkolwiek osłabiony przez odpływ do syjonizmu - trwa jednak nadal. Grupa Żydów-Polaków jest nader zróżnicowana, gdyż obejmuje i tych, co się przechrzcili, i tych, co mają poczucie przynależności podwójnej, i tych wreszcie, którzy posługując się językiem polskim czują się nadal Żydami. Ci ostatni mają rozbudowaną prasę, której przedłużeniem są wychodzące obecnie w Izraelu pisma polskojęzyczne. Ideologia takich gazet, jak „Nasz Przegląd”, „Chwila”, „Nowy Dziennik”, jest salonowo-syjonistyczna: głoszą syjonizm, ale go nie realizują.

Jednocześnie rośnie jednak znaczenie Żydów w kulturze ogólnopolskiej, rośnie - paradoksalnie - wraz ze wzrostem antysemityzmu. W ich rękach znajduje się też najpoczytniejszy tygodnik kulturalny „Wiadomości Literackie”. Fenomen jedyny w swoim rodzaju: najbardziej lubiani pisarze są jako ludzie najbardziej znienawidzeni. Tuwim boi się wyjść na ulicę, Słonimskiego bije w cukierni Ipohorski, który wielbi poezję Tuwima do tego stopnia, że nie cofa się przed splagiowaniem *Dwu wiatrów*.

Ponieważ znaczna połać kultury polskiej jest teraz wytworem tych ludzi, nie można być przeciw nim, nie będąc przeciw własnej kulturze: powstaje zrost antysemityzmu z antyinteligencją, nurt rasistowsko-plebejski. Przypomina się bajka, jaką z okazji tzw. secesji plebejskiej opowiada u Liwiusza Meneniusz Agrippa: jak to ciało znienawidziło i zbuntowało się przeciw własnej głowie.

A nienawiść jest rzeczywiście straszna. Gdyby brać wszystkie wyzwiska na serio, można by rzec, że przesłanki do komór gazowych były już gotowe w umysłach tych ludzi. Gdyby brać je na serio... Na całe szczęście, żyjemy w kraju, gdzie nigdy nie wiadomo, czy kto kpi, czy o drogę pyta, gdzie słowa się właściwie nie liczą, gdyż nie stoi za nimi żadna wola wykonania.

Jeżeli jednak o słowa chodzi, są one - trzeba rzec - dość mocne. „Ludzkość stworzyła dla niej najbardziej obelżywe słowa świata” - mówi o „starej babie” w wierszu pod tym tytułem Anna Swirszczynska. Podobnie język polski, którym pisarze ci władali jak nikt, zarezerwował dla nich właśnie najobelżywsze słowa, jakie w ogóle miał do dyspozycji.

Obaczmy np., co o Bolesławie Leśmianie pisze na łamach „Gazety Warszawskiej” w ciągnącym się przez pięć numerów tasiemcu o iście leśmianowskim tytule *Znikąd-donikąd czyli w krainie poetyckiej „bezgdziesi”* stały współpracownik tego pisma, Stanisław Pieńkowski:

„Przybył do szanownego grona jeszcze jeden żyd (...) - B. Leśmian, czyli Lessman. Ten należy do owadziego rodu nekroforów, z upodobaniem grzebiąc się w mogiłach, trupach i zgniliźnie, co zresztą leży w charakterze ducha żydowskiego. (...) Duch żydowski - chce czy nie chce - wnosi z sobą wszystkie swoje właściwości, więc: nihilizm, pesymizm, sceptycyzm, oschłą mózgowość, cynizm, materializm, brud talmudyczny, wszystkojedność i owo lessmanowskie «rozścierwienie od padołów aż do wyżyn»⁸.

A oto jeszcze bardziej kuriozalny cytat z artykułu, poświęconego *Pogrzebowi prezydenta Narutowicza* Juliana Tuwima:

„Ha! To Żyd do Polaków tak przemawia, Żyd z bolszewickiego „Skamandra”, młody żydziak, który jeszcze pisać po polsku nie umie, Jojne Tuwim z Gęsiej ulicy (...) Zatem: na kolana, Polacy! (...) Przez

⁸ Zob. „Gazeta Warszawska” 1922, nr 102 oraz 104-107.

usta Jojne Tuwima mówi groźny Jehowa! Mówi po polsku, więc powinnaś zrozumieć, podła polska kanalia! I ty, Wando złotowłosa!⁹.

„Zapewne - powie kto - ale któż by się liczył z Pieńkowskimi? Ważne są głosy ludzi wybitnych, ci zaś - byli przeciw”. Nie bardzo jednak - przeciw! Weźmy chociażby słynny *List do przyjaciół* z „Prosto z mostu” (1936, nr 21) Gałczyńskiego, tekst tak starannie w okresie powojennym ukrywany, że nie tylko on sam, ale nawet wzmianka o nim napotykała opory zarówno ze strony cenzury, jak i samych redakcji. Stąd też pojawiające się obecnie wydania Gałczyńskiego są - wszystkie bez wyjątku - wzorem edytorskiej nieuczciwości.

W przywołanym więc tekście Gałczyńskiego znajdujemy takie ogólne określenia współczesnych poetów, jak „czciciele towaru, machlojki, forsy, koszerne księżycy”, jak „sutenerzy poezji”, którzy „zepchnęli ją (...) w cień swej synagogi”. Twierdzi, co prawdą że „nie chce wyszczególniać niczych nazwisk”, jako że „za parę lat i tak nikt już dźwięku tych nazwisk pamiętać nie będzie”. Mimo to wymienia po nazwisku Peipera, którego przy okazji określa jako „peiperogulłaja”.

Inaczej z nazwiskami pisarzy znanych i potężnych: tutaj rzeczywiście poprzestaje tylko na aluzjach. Mówi więc ogólnikowo o „wellsistach, scientyfistach, przyjaciółach prostego człowieka i zsiadłego mleka oraz franciszkanach”, pod którymi to przezwami nietrudno rozpoznać Słonimskiego, Tuwima, Wittlina. Władztwo ich - zdaniem Gałczyńskiego - się kończy, gdyż „wyszachrowane po gudłajsku, a nie krwią poświęcenia zdobyte sławy to pieniądz fałszywy...”

Nie będę przykładów mnożył. Poprzestanę na niesamowitej anegdocie, którą mam od Edwarda Hołdy („Literatura” 1981, nr 18). Oto w podkrakowskim Miechowie stała tuż przed wojną gablotka, gdzie za szkłem mieściła się karykatura Tuwima, podkreślająca oczywiście jego semicki wygląd i zaopatrzona odpowiednio plugawym napisem. Otóż Niemcy po wkroczeniu gablotkę na razie zachowali, prowadząc zaś miejscowych Żydów na egzekucję w lasy podmiejskie kazali im nieść ją - jako krzyż. Została rozstrzelana wraz z nimi: w ten sposób przebywający wówczas w Stanach Tuwim został zabity - in effigie.

Antysemickimi cytatami można by zapełniać tomy. Dość przypomnieć wykład o Tuwimie Karola Huberta Rostworowskiego, wygłoszony w krakowskim Związku Literatów. Twierdził on w nim, że poezja to może i dobra, tyle że niepolaska z ducha. Zapomniał snadź, że i niepolskość, jeśli genialna, może się przyczynić do wzbogacenia polskości. Błogosławieni pisarze tak niepolscy, jak Tuwim czy jak Schulz, który rzeczywiście mieli w sobie wiele elementów dotychczas w kulturze naszej niebywałych.

Rozdział III

LITERATURA MIĘDZYWOJENNA

Powstaje pytanie, czy na temat psychiki Żydów zasymilowanych można w ogóle formułować jakieś twierdzenia ogólne. Można na pewno - na temat sytuacji, w jakiej asymilacja ta się odbywała. Przed pierwszą wojną światową była ona - jak się rzekło - bez porównania łatwiejsza: Żydzi byli jeszcze wówczas przedmiotem zabiegów. Ktoś, kto wtedy dojrzywał czy działał - Wilhelm Feldman np., Bolesław Leśmian, Juliusz Kleiner - nie napotykał w zasadzie oporów; proces był przypieczętowany chrztem.

⁹ Zob. „Gazeta Poranna 2 grosze” 19222, nr 349.

Mówię „w zasadzie”, gdyż np. Wilhelm Feldman (który nawrócił się dopiero na łożu śmierci) wywoływał awantury, gdzie nie brakło i antysemickiego posmaku. Był krytykiem - zawód niezbyt lubiany; był krytykiem niezbyt kompetentnym: potrafił odrzucić - przesłany bez podpisu - wiersz Słowackiego. Przeciw „rozróbie”, jaką w związku z tym wszczęto, ukazał się - podpisany wybitnymi nazwiskami - protest. Dziś pamiętamy sprawę dzięki piosence Boya, piosence, której zarówno tekst, jak i komentarz - w edycji Wydawnictwa Literackiego - surowo ocenzurowano, słowo „parchu” wykropkowano, charakter afery pominięto milczeniem.

Okazem Żyda do tego stopnia spolonizowanego, że nie tylko świadomość, ale i podświadomość ma polską, był Bolesław Leśmian. W twórczości jego żydowskich motywów brak całkowicie; wyjątek stanowi Eliaz - też zresztą niebiblijny z ducha. Jeśli Leśmian wspomina w korespondencji o swym rodowodzie, to jako o czymś, co w okresie, gdy „kwestia żydowska - jak pisze - zapełniła całe miasto nienawiścią”¹⁰ może mu stanąć na zawadzie w osiągnięciu stanowiska reżysera.

1. Julian Tuwim, czyli Żyd-allosemita

Inaczej ma się rzecz z pisarzami, którym wypadło dorastać w atmosferze, rozpętanej przez endecję po 1905 r., nienawiści. Julian (Tuwim padł np. - świadczy o tym zachowana w archiwum *Pieśń o biciu* - w ostatnich latach przedwojennych ofiarą rozruchów antysemickich w Łodzi: wydarzenie, które nie mogło nie odcisnąć piętna na psychice dorastającego chłopca.

Sytuację Żyda-Polaka określają dwa wyznaczniki. Pierwszy - to ten, iż opuszcza jedno społeczeństwo, by wejść do drugiego. Wybitne cywilizacje powstawały - twierdzi historyk Arnold Toynbee - tam, gdzie napotymano trudności naturalne. Również i rozwojowi jednostki sprzyjają trudne warunki. Tym też się tłumaczy olbrzymi procent ludzi wybitnych wśród Żydów zasymilowanych.

Po drugie - oderwana od tradycji rodzimej, nie bardzo zaś wrośnięta w nową - jednostka taka jest nastawiona antyzachowawczo, sprzyja przewrotom: wszelki ruch rewolucyjny gwarantuje jej mianowicie równouprawnienie w nowym społeczeństwie. Tym się tłumaczy ogromny udział Żydów rosyjskich w Rewolucji Październikowej; tym - ich napływ do Komunistycznej Partii Polski.

W mniemaniu ówczesnej prawicy na epitet bolszewizmu zasługiwał zresztą każdy, kto nie był endekiem. Był nim dla Pieńkowskiego cały „Skamander” wraz z Iwaszkiewiczem; bolszewikiem, do którego strzelał - jak się wyraził Gałczyński w *Skumbriach w tomacie* pewien „szlachetny” - był i prezydent Narutowicz; był nim nawet Piłsudski.

Za bolszewika czy - jak wówczas mawiano - za „żydokomunę” uważano każdego, kto naruszał świętości tradycyjne: własność prywatną, rodzinę, wojsko, cnotę dziewcząt. Dar skandalizowania miał pod tym względem zwłaszcza Julian Tuwim, którego *Wiosna - dytyramb*, *Do generałów*, *Do prostego człowieka* wywoływały pianę na ustach Pieńkowskich; zagadnienie tak znamienne, że zajmujemy się nim obszerniej.

Otóż asymilować się - znaczy akceptować kryteria obyczajowe i kanony estetyczne obcego społeczeństwa - także wtedy, gdy mierzą one w nas. W ten sposób zyskujemy do siebie dystans, uczymy się patrzeć na siebie cudzymi oczyma. Stąd - z dawna zauważona u pisarzy pochodzenia żydowskiego, u Heinego chociażby - skłonność do autoironii.

¹⁰ Bolesław Leśmian *Utwory rozproszone. Listy*, Warszawa 1962, s. 328-331.

Cóż dopiero, jeśli ktoś asymiluje się do społeczeństwa na poły średniowiecznego, i to w mieście tak zacofanym jak dziewiętnastowieczna Łódź; jeśli jest on napiętnowany myszką na policzku oraz typem wyrażnie semickim (już samo zresztą obrzezanie można odczuwać jako stygmat); jeśli wreszcie owo poczucie napiętnowania podsyca w nim znerwicowana matka.

Tym, co u matki było obsesją neurotyczną i co zagnało ją w końcu do domu obłąkanych, może on co prawda, jeśli ma dość talentu i humoru, igrać jako poetyckim motywem, patrząc na siebie samego jako na opętanego przez biesa czy jako na biesa we własnej osobie:

Odwiedził mnie raz przykry gość,
Wizyta była krótka.
Doradzał coś, tłumaczył coś,
Wystrychnął mnie na dudka.
(Wizyta)

Znane są pasje kolekcjonerskie Tuwima, zbieracza demono- i szczurologicznych traktatów. Rzekłby kto, że szperając w tych szpargałach, których autorowie opisywali rozmaite zabiegi egzorcystyczne, doszukiwał się swego mitycznego rodowodu albo też - że? usiłował znaleźć metodę autokuracji:

Uczyli mnie skutecznych sztuk
Bodinus i Del Rio...

Słowem, rezultatem asymilacji do społeczeństwa, które Żydów demonizowało, była w wypadku Tuwima - autodemonizacja. Ponieważ środowisko, w którym dorastał, widziało go jako istotę odmiennego gatunku, jako innego, więc jako innego widział też siebie sam. Zysk psychiczny był niewątpliwym: nauczył się spoglądać na siebie cudzym wzrokiem, „par le regard d'autrui” - powiedziałby Sartre.

Tę umiejętność patrzenia na siebie z zewnątrz, nabytą w trakcie procesu asymilacji, uogólnił Tuwim w metodę poetycką. Umiał - w wierszu *Mąż i ja* - spojrzeć oczyma „straszego chłopca z Łodzi”, którym był niegdyś, na siebie, znakomitego poetę; umiał - w *Wierszu o umarłej nadziei* - widzieć siebie oczyma starego pośtańca ulicznego, który spodziewa się po nim zarobku.

Można rzec paradoksalnie, że endecka kołtuneria była Tuwimowi potrzebna, że był z nią zrośnięty w uścisk miłosno-nienawistny. Kiedy w 1946 r. wrócił do Polski Ludowej, w której Pieńkowscy pochowali się po mysich dziurach, zabrakło mu ich: otrząsając się ze złego czaru, jaki nań rzucali, otrząsnął się przy okazji i - z własnej poezji.

Z tym kołtunem był podziemnie połączony. Ileż to wierszy poświęcił sennym miasteczkom, gdzie „sąsiedzi dobrzy tyją i głupieją”! Jakże mu uwidziała się „Polska rzępoląca jarmarcznie”, Polska Tomaszówów i Miechówów, gdzie miała się znaleźć niebawem za szklaną gablotą własna jego twarz - jako straszdyło!

Przewidział to! W nieco wcześniejszej *Piosence umarłego* taki właśnie uroił sobie zaświat. „Stanie -- pisałem kiedyś - jako tandetny choinkowy aniołek w jakimś Kutnie czy Sieradzu pod okiem małomiasteczkowej gawiedzi:

Staną gapie za szybami,

A ty ruszaj skrzydełkami,
A ty stukaj sztywną nóżką,
Zatracona moja duszko!

„Nie uniknąć Żydowi-czartowi - pisałem dalej - pośmiertnej kanonizacji. Usztyniony wzrokiem kołtuna wejdzie w jego zaściankowy panteon, wrośnie w jego tandetną mitologię, stanie się aniołkiem («albo diabełkiem» - dodałbym dzisiaj) ze szkolnych wypisów¹¹.

W 1943 r. pod wrażeniem napływających z Polski wiadomości - była tam i wiadomość o śmierci matki - ogłosił w amerykańskiej „Gwieździe Polarnej” artykuł *My, Żydzi polscy*, publikowany później za jego życia tylko w antologiach¹². Przemawia w nim po raz pierwszy jako jeden z narodu „Szlojmów, Srułów, Mosków, parchów, bejlisów i gudłajów”; wyzwiska, które teraz akceptuje. Dokument ten zamyka właściwie jego twórczość poetycką; potem następować miały raczej - poronienia.

Nazywając siebie „Szlojmą, Srulem, Mośkiem, parchem, bejlisem i gudłajem” nie musiał sięgać do Pieńkowskiego, który - jak pamiętamy - ochrzcił go imieniem „Jojne Tuwim”; mógł wyzwiska te znaleźć we własnych utworach młodzieńczych, w *Giełdziarzach*, *Anonimowym mocarstwie*, *Banku* i in. Czyż nie wczuł się tam w mitologię kołtuna, pisząc o „szatańskich mszach” i „ukrytych zbrodniach” Żydów? Czyż obelgi „gudłaje” i „szajgece”¹³, których tam pod adresem Żydów używa, nie wywołały oskarżeń o antysemityzm? Ale nie! Nie antysemityzm to był; było to odczucie własnej egzotyki. Jakże byłby się wówczas przydał termin „allosemityzm”!

Zakończmy sprawę! Asymilacja w gruncie rzeczy, się nie udała; za to udała się poezja, która tej nieudanej asymilacji, tej nieszczęśliwej miłości do Polski była wynikiem. Czyż nie dał kiedyś w *Zieleni* do zrozumienia, że - skoro tamta Polska przyjąć go nie chciała - prawdziwą jego ojczyznę pozostawała „polszczyzna”? I czyż właściwym jego testamentem są nie tyle - na wpół tylko udane - *Kwiaty polskie*, co ów rozpaczliwy i genialny *Bal w Operze*, zakończony życzeniem, aby „wszystkich wszyscy diabli wzięli”? „And my ending is despair” - mógł o sobie powiedzieć żydowski Prospero polskiej poezji.

2. Antoni Słonimski, czyli postęp umiarkowany

Przy wszystkich pochodzeniowo-pokoleniowo-artystycznych analogiach Antoni Słonimski znajduje się w całkowicie odmiennej sytuacji, niż Julian Tuwim - już chociażby dlatego, że przyszedł na świat jako chrześcijanin, co chroni go na razie - mówię o latach dwudziestych - przed atakami nierasistowskiej jeszcze endecji. W sytuacji odmiennej nie tylko z uwagi na wyznanie; także dlatego, że dorastają każdy wśród innej warstwy: Tuwim - wśród drobnomieszczaństwa łódzkiego, Słonimski - wśród warszawskiej inteligencji.

Asymilować się to - jak mówiliśmy powyżej - przejmować cudze kanony obyczajowe i kryteria estetyczne - nawet wtedy, gdy mierzą w nas; to trwać bezbronnym pod cudzym spojrzeniem. Dla przeciętnego gustu tych czasów to, co żydowskie, jest synonimem szpetoty: nos zadarty góruje zdecydowanie nad haczykowatym, twarde „r” - nad miękkim. Asymilująca się jednostka musi -

¹¹ 1 *O człowieku, który był diabłem* (Zebrane Pisma Krytyczne, Warszawa 1981, t. I; określane odtąd jako ZPK).

¹² Zob. *Pieśń ujdzie cało*, Warszawa 1947.

¹³ Tuwim, który miał mgliste tylko pojęcie o języku jidysz, używa terminu „szjgec” niewłaściwie, rozumiejąc przezeń - jak z kontekstu wynika - młodego Żyda. Tymczasem Żydzi określają nim właśnie młodego nie-Żyda. Odpowiednikiem żeńskim jest termin „siksa”, przyjęty po wojnie w znaczeniu „podłotek”.

zwłaszcza jeśli o dorastającym chłopcu mowa - akceptować ten system wartości, zgodzić się na własną nieurodziwość.

Uroda jest jednak dorastającemu chłopcu potrzebna - jak rybie woda; walczy o nią każdy. Różnica między obu pisarzami polega na tym, że - czując na sobie demonizujący wzrok kołtuna - Tuwim nie tylko demoniczność tę akceptuje, lecz tworzy z niej nowy rodzaj urody - niesamowitej i tragicznej. Łatwiejszy start życiowy Słonimskiego - był synem wziętego warszawskiego lekarza - hamowany był jednak - co tu kryć? - przez fizjognomię, która mogła utrudniać młodzieńcze poczynania.

Dowcip, błyskotliwość, ciętość - to odziedziczył po ojcu; trzeba było jeszcze podjąć walkę o urodę. Czyni to, rzutując ideał własnej osoby poza siebie, stylizując się i pozując. Na co? Na Bayarda, na rycerza bez skazy i zmaży, na nieugiętego bojownika o sprawiedliwość. Czyni to zwłaszcza w wierszach, gdzie sprawia sobie twarz i płaszcz hidalga.

Rozszczepieniu jego pisarskiej osobowości na rasowego felietonistę i poetę niezbyt autentycznego poświęciłem kiedyś oddzielną analizę: „Podczas gdy (w felietonie) - pisałem - jest, jaki jest: rozsądny, trzeźwy, dowcipny, to poezja stanowi dlań teren psychicznych maskarad: tutaj drapuje się w antykizujące czy byroniczne płaszcze, tu nobilituje się i sprawia sobie korzenie, tu ukazuje się, jakim chciałby być”¹⁴. Tu, słowem, pozuje.

Całe życie marzył o tym, by imponować, aby być duchowym wodzem polskiej inteligencji: stał się nim rzeczywiście w okresie popaździernikowym. Był to wszelako jeden z tych wodzów, którzy zostają w odwodzie; jeden z tych prowodyrów, którzy gonią za popularnością u podwładnych; z tych bezkompromisowców, którzy w czasach szczególnie groźnych zostawiają za sobą furtki - otwarte; dowodem jego nader ugodowe zachowanie w okresie, gdy panował kierunek, przeciw któremu wypowiedział się był - w tomie reportaży - jeszcze ćwierć wieku temu.

Jeśli o pochodzenie chodzi: nie zapierał się go bynajmniej. Eksponował je raczej, eksponował jednak w postępowo-polsko-patriotycznej wersji: to opowiada o dziadku Zeligu Słonimskim, redaktorze postępowej gazety hebrajskiej; to wspomina o pradziadku, Abrahamie Sternie, który z motywów patriotycznych odrzucił zaproszenie Akademii Berlińskiej; to podróżując w latach dwudziestych po Palestynie zauważa tam jedynie starego Żyda, który marzy o tym, by wrócić do Warszawy¹⁵.

Jego obiektywizm w traktowaniu spraw pochodzeniowych i brak drażliwości są posunięte tak daleko, że aż chwilami - ostentacyjne. Oto np. ogłasza w „Wiadomościach Literackich” (1924, nr 35) artykuł *O drażliwości Żydów*, z którego dowiadujemy się m.in., że „jedną z kardynalnych i najbardziej charakterystycznych cech żydostwa jest bagatelizowanie najświetniejszych zdobyczy ducha ludzkiego. Żydzi bagatelizują wszystko: kaleczą język, którym mówią, lekceważą czystość mowy, dała i serca, przeceniają zaś nierozumnie znaczenie pieniędzy (...) Dziewięćdziesiąt procent handlarzy żywym towarem to Żydzi”.

A dalej: „w sztuce niczego nie okazali, (...) mają w sobie tragiczną nieproduktywność”. Ba! Nawet Bóg żydowski „lekceważy wszelką etykę, a nawet prostą uczciwość, jeśli chodzi o zdobycie kraju”. Jako przykład owego lekceważenia etyki wymienia Słonimski kamienny deszcz, jaki Jehowa spuszcza na Amalekitów. Wszystko to - pomijając drobny fakt, że deszcz spada nie na Amalekitów, lecz na

¹⁴ Artur Sandauer ZPK, t III, s. 469.

¹⁵ Zob. *Rozmowa z rodakiem*.

Amorytów - ma wywołać na czytelniku wrażenie bezstronności i braku uprzedzeń na rzecz Żydów ze strony autora.

Artykuł ten posłużył - przypomnijmy - w 1968 r. Gomułce jako asumpt, aby z trybuny Sali Kongresowej zaatakować Słonimskiego za antysemityzm. Zapomniał o jednej tylko rzeczy: oto, że bez względu na meritum sprawy opinia publiczna przyznaje automatycznie rację temu, kto w danej chwili na łamach prasy bronić się nie może. Tymczasem z artykułu Słonimskiego widać wyraźnie, jak - nie oparte o rzetelną znajomość rzeczy - postępowiczostwo przerasta w obskurantyzm, a ostentacyjna bezstronność w traktowaniu spraw pochodzeniowych - w coś rzeczywiście nader zbliżonego do antysemityzmu.

W 1947 r. wreszcie pisze Słonimski wiersz *Elegia miasteczek żydowskich*, gdzie mówiąc o tym jedynym w dziejach wydarzeniu, jakim była zagłada, daje wyraz nadziei, że kiedyś „się zbliżą bratersko i złączą od nowa - Dwa narody, karmione stuleci cierpieniem”. Nadzieja ta wynika - jak zwykle w poezji Słonimskiego - ze skłonności do humanitarno-szlachetnej frazeologii: jednego z tych narodów na tej ziemi po prostu - nie ma.

*

Fakt asymilacji skłania jednostkę - jak się rzekło - do sojuszu z siłami postępu: antytradycyjalne społeczeństwo mniejsze czynić jej będzie wstręty. Toteż Żydzi uczestniczą wówczas we wszystkim, co najbardziej nowoczesne: olbrzymi jest ich wkład zarówno w polityczną, jak i w artystyczną awangardę. Sojusz obu jest zresztą wówczas powszechny: komunizują francuscy surrealiści na równi z rosyjskimi futurystami; lewicuje krakowska „Zwrotnica” z Peiperem, warszawska „Nowa Sztuka” z Watterem, Sternem i Ważykiem na czele.

Żadnego z nich - gdyby stosować kryteria samo-określenia i szukać wzmianek w twórczości - nie można uważać za Żyda; co najwyżej w biografii znajdziemy pewne dane. Na ogół jednak wszyscy zachowują pełne w tej sprawie milczenie. Czyż można zresztą oczekiwać, aby późniejszy pisarz radziecki, Bruno Jasieński, późniejszy redaktor „Miesięcznika Literackiego”, Aleksander Watt czy awangardzista Tadeusz Peiper dali się wepchnąć w średniowieczną - ich zdaniem - problematykę?

Kto wie, czy nie należałoby się zastanowić - aby i na tę stronę zagadnienia nie zamykać oczu - ile w swej skłonności do teoretyzowania na temat poezji taki Tadeusz Peiper zawdzięcza przodkom-talmudystom. We wspomnianym *Liście do przyjaciół* z „Prosto z mostu” i Gałczyński plecie o „rabinackich szkołkach rozmaitych Peiperów”. Określenie takie - w swoim czasie obelżywe - dla nas nie ma już tego charakteru. Sam pisałem przed laty, że Peiper traktuje poezję jako „zespół chwytów i sposobów”¹⁶. Do jakiego stopnia było to dziedzictwem praojców-talmudystów, trudno oczywiście dociec; gdyby jednak nawet było, to rabinacka szkoła wyszła niewątpliwie na dobre ruchowi umysłowemu w Polsce.

Tylko jednak w ruchach awangardowych lat dwudziestych - rzec trzeba - jednostki pochodzenia żydowskiego odgrywają rolę przodującą; tracą ją w trzydziestych; dlatego, nietrudno dostrzec. Awangarda lat dwudziestych była racjonalistyczna i lewicująca; trzydziestych mistyczna i prawicowa: w tej ostatniej Żydzi nie bardzo mogli sobie znaleźć miejsce.

¹⁶ Artur Sandauer ZPK, t I, s. 206.

3. Bruno Schulz, czyli pisarz polski o podświadomości starotestamentowej

Wyjątek stanowi Bruno Schulz, jedyny pisarz-nowator żydowskiego pochodzenia, który wypływa w latach trzydziestych. Ktokolwiek znał człowieka, nie mógł nie dziwić się sprzeczności: na tym postępowcu osadzony był autor, który nic z postępem nie miał wspólnego. Czas jego opowiadań nie jest postępowo-linearny, jest kołowy, nawija się na siebie i powtarza wciąż ten sam obrzędowy wzorzec. Rytuałem staje się tu wszystko: posiłek, sen, handel. Ale bo też ahistoryczna społeczność, do której należał, obracała się od 2000 lat w kręgu rytuałów.

Przyjrzyjmy się wspomnianej sprzeczności między człowiekiem a pisarzem uważniej: tamten był świadomy, ten czerpał z podświadomości, tamten był Europejczykiem, ten grzęznął w mitach i rytach. Między oboma przebiegała rysa, jakby podświadomość znajdowała się pod działaniem ciemnych sił magnetycznych. Ku czemuż zbacza tak lękliwie wzrok Schulza na autoportretach? Czyż nie ku temu, co czai się w nim samym?

Powiem więcej: Europejczyk potępiał w nim pra-Semity, postępowiec - zboczeńca. Stąd – marzenie o samounicestwieniu. Jego masochizm - bo był masochistą - stanowił formę samozaprzeczenia, był dążeniem samobójczym i znalazł - jak zobaczymy za chwilę - potwierdzenie w rodzaju śmierci. Potwierdzenia faktu, że niegodzien jest życia, szukał u partnerek.

Realizacji dręczących go obsesji szukał też w dolnych warstwach Starego Testamentu - tych, co to odzwierciedlają świat krwawych rytuałów, z których przezwyjężenia powstała ta księga. I czyż otwierający jego twórczość *Sierpień* - opowiadanie o tym, jak matka wyprowadza go w upalny dzień sobotni z wizytą do krewnych, gdzie doznaje przewrotnej inicjacji seksualnej, nie jest nową wersją ofiarowania Izaaka? Czyż matka nie składa go w ofierze Molochowi żądz, które miały tak bardzo skomplikować mu życie?

Podświadomość Schulza szła w głąb, w głąb krwawych rytuałów prasemickich. Marzył o Wtorej Księdze Rodzaju, opisującej również akt tworzenia - ale nie ludzi już, lecz bezwolnych istot, manekinów - jeszcze jeden mit masochistyczny - zredukowanych do roli automatów, posłusznych każdemu zleceniu. Czytamy tam, że zabójstwo, dokonane „w interesie ciekawego i ważnego eksperymentu może (...) stanowić zasługę” i być „punktem wyjścia dla nowej apologii sadyzmu”¹⁷.

„Dawne, mistyczne plemiona - czytamy w tymże *Traktacie* - balsamowały swych umarłych. W ściany ich mieszkań były wprawione, wmurowane ciała, twarze; w salonie stał ojciec - wypchany, wygarbowana żona-nieboszczka była dywanem pod stołem. Znałem pewnego kapitana, który miał w swej kajucie lampę-meluzynę zrobioną przez malajskich balsamistów z jego zamordowanej kochanki. Na głowie miała rogi jelenie”¹⁸.

Mróz, jaki szedł mi po kościach, kiedy odczytywałem niegdyś te fragmenty, został odcyfrowany - przez okupację. „Do zobaczenia na wystawie z mydłem!” - żegnaliśmy się w getcie; przemiany w lampy i dywany nie przewidywaliśmy. Ale to - miało się sprawdzić; wystarczy zajrzeć do muzeum pohitlerowskiego w Jerozolimie. Okupacja była czasem spełniania się prorocstw, udosławiania przenośni. „Naród osobny” Balaama został odosobniony murami i drutami; siewcy „miazmatów” zaczęli rozsiewać tyfus.

¹⁷ Bruno Schulz *Proza*, Kraków 1964, s. 81.

¹⁸ Tamże, s. 93.

Również i w rodzaju śmierci, jaką Schulz nie tyle poniósł, co sobie wybrał, znalazła twórczość ta potwierdzenie: wyszedł na ulicę akurat w chwili, gdy szalała hitlerowska akcja. Czyż nie tak właśnie, jak w noc rozszałej wichury wychodzi, wciągnięty przez jej magnetyzm, subiekt Teodor? Biografowi dała ta śmierć okazję do pocieszającej historyjki o tym, jak to już-już miał przybyć wysłannik podziemia, by go odstawić w bezpieczne miejsce, ale, niestety, w ostatniej chwili¹⁹ ... Jeszcze jedno z pocieszeń, którymi zwykło się u nas karmić swe sumienia.

Rozdział IV

ŻYDZI W LITERATURZE CZASU OKUPACJI

Młody Polak, którego w szkole uczono, że społeczeństwo jego zachowało się w czasie okupacji wzorowo, a który znalazłszy się za granicą naczytuje się o dobijaniu w Polsce przez chłopów zbiegłych obozowców²⁰, ma do wyboru albo przyjąć, że za granicą działają „siły”, które - nie wiadomo czemu - uwięziły się na jego naród, albo że w szkole uczono go kłamstw. Podjęcie dyskusji uniemożliwiają - dodajmy - bariery komunikacyjne, pieniężne, językowe, cenzuralne między Polską a Zachodem.

Nie będziemy się wdawać w polemikę i my: argumentami można się przerzucać bez końca. Nie ulega wątpliwości, że około stu tysięcy ocalałych Żydów zawdzięcza to Polakom, którzy narazili dla nich swe życie; nie ulega jednak także, niestety, wątpliwości, że znaczna część społeczeństwa kiwała głowami: „Może to i dobrze, że Hitler odwała za nas robotę”.

„Na ogół mało kto Żydów żałował” - zacytuję, aby nie być gołosłownym, ocenę Jerzego Andrzejewskiego, warszawiaka, a więc naocznego świadka powstania w getcie - „Lud cieszył się - pisze on dalej w opowiadaniu *Wielki Tydzień*, którym zajmujemy się za chwilę obszerniej - że znienawidzeni Niemcy mają nowy kłopot...” A po chwili: „Na samym jego (placu Krasińskich - A. S.) środku stały dwie karuzele, niezupełnie jeszcze zmontowane. Przygotowywano je widocznie na nadchodzące święta”²¹.

Czy że akcja dzieje się, zanim ruszyły karuzele na placu Krasińskich, czy że autor wolał szczególnie ten pominać, dość, że w opowiadaniu Andrzejewskiego jeszcze się one nie kręcą: kręcą się natomiast u Czesława Miłosza w *Campo di Fiori*:

Czasem wiatr z domów płonących
Przynosił czarne latawce,
Łapali płatki w powietrzu
Jadący na karuzeli
Rozwiewał suknie dziewczynom
Ten wiatr od domów płonących,
Śmiały się tłumy wesole
W czas pięknej warszawskiej niedzieli.

Żydów likwidowano zatem u nas - w *Pamiętniku z powstania warszawskiego* wspomina o tym również Miron Białoszewski²² - przy dźwiękach skocznej muzyki, i nic na to żadne akcje „Żegota” nie

¹⁹ Zob. Jerzy Ficowski *Regiony wielkiej herezji*, wyd. II, Kraków 1975, s. 242-243.

²⁰ J. F. Steiner *Treblinka*, Paris 1966. Préface de Simone de Beauvoir.

²¹ Jerzy Andrzejewski *Noc*, Warszawa 1945, s. 76-77.

²² Miron Białoszewski *Pamiętnik z powstania warszawskiego*, wyd II, Warszawa 1971, s. 84.

pomogą. Nie pomoże też określanie zebranego na placu Krasińskich tłumu jako „mętów”. Co jednak najciekawsze, to fakt, że tych, których śmierci przygrywała karuzela, pośmiertnie określa się jako „rodaków”.

Niechże zatem ów młody Polak nie wyrzeka na „siły”, zrzucające - zamiast na właściwych sprawców rzezi - winę na naród, który sam był częściowo jej ofiarą. Czemuż bowiem przypisać niewłaściwy adres tych pretensyj? Czyż nie temu, że Niemcy dokonali aktu skrucy, gdyż w Polsce - aktu takiego zabrakło? Za dokonaną na terenie kraju likwidację Żydów społeczeństwo odpowiadać nie może; może natomiast za dowody antysemityzmu, jakie dawało - i daje po wojnie - nie mała jego część. Tu - obowiązek reagowania spada na literaturę, która powinna była z tą sprawą się rozliczyć. Czy się rozliczyła?

Dochodzimy do uzasadnienia podtytułu: „Rzecz, którą nie ja powinienem był napisać”. Dlaczego - nie ja? A dlatego że mnie - podejrzewać by można o stronniczość; na tematy zaś, gdzie sąd jego nie może być całkowicie obiektywny, krytyk w ogóle nie powinien się wypowiadać, chyba... chyba że - jak w danym wypadku - jest rzeczą nieomal pewną, że nikt inny się nie wypowie.

I proszę zwrócić uwagę! Nie postuluję bynajmniej podejmowania tematyki żydowskiej: takich pozycji mieliśmy - by wymienić tylko najwybitniejsze - od *Medalionów* Nałkowskiej po *Krajobraz niewzruszony* Filipowicza, sporo. Chodzi o zagadnienie moralne: o obrachunek sumienia, o rozliczenie się z polskim antysemityzmem - przedwojennym, wojennym, powojennym. Czy wiele mamy takich pozycji?

Za takie właśnie uważa się dwa wspomniane już utwory: *Wielki Tydzień* Andrzejewskiego oraz *Campo di Fiori* Miłosza. Analizę *Wielkiego Tygodnia* przeprowadziłem kiedyś w studium *Szkoła nierzeczywistości i jej uczeń*²³. Rezultaty tam osiągnięte podtrzymuję w pełni; obecnie poprzestanę na ich przypomnieniu i na postawieniu kropek nad „i”.

1. *Wielki Tydzień* Jerzego Andrzejewskiego, czyli dwie redakcje jednego utworu

W poprzedzającej wydanie pierwsze tomu *Noc* (1945) notatce odautorskiej czytamy: „*Wielki Tydzień*, niecierpliwie i na gorąco napisany pod bezpośrednim wrażeniem tragicznego powstania Żydów, wrócił ponownie do swego autora w dwa lata później. Wrócił na okres dłuższy, aby po znacznych zmianach artystycznych i wielu stronicach napisanych na nowo otrzymać kształt obecny”.

Mamy więc formalne przyznanie się: aby móc się ukazać w 1945 r. tekst pierwotny z 1943 r. musiał ulec wielu „zmianom artystycznym”. Czy tylko - artystycznym? Tamten był swobodny; ten powstawał pod naciskiem nowej sytuacji politycznej. Dla wielu przedstawicieli nowych władz zagłada żydowska była sprawą szczególnie bolesną: stracili w niej najbliższych. Jeśli Andrzejewski chciał, by książkę mu wydano, musiał uczucia te uwzględnić. Spróbujmy zrekonstruować ślady owej pierwotnej - mniej dla Żydów życzliwej wersji.

Głównych bohaterów jest dwoje: Polak Małecki oraz Irena Lilien, córka całkowicie spolszczonej żydowskiej rodziny. Coś ich dawniej łączyło, a że - pewni swej polskości - Lilienowie opasek nie nałożyli, więc oboje spotykali się jeszcze za okupacji. Później się to rozlało: Irena pisała do

Zob. ²³ Artur Sandauer ZPK, t. III.

Małeckiego dwukrotnie, ten nie odpisał. W chwili rozpoczęcia akcji spotykają się na pl. Krasińskich, pod murami walczącego getta - Małecki, wiedziony ciekawością, Irena - nowym poczuciem wspólnoty, „zewem krwi”.

Istnieją - zauważmy - dwie metody narracji: albo autor utożsamia się z bohaterem, patrząc jego oczyma, albo też spoziera nań i ocenia go z zewnątrz. Andrzejewskiemu właściwa była dotąd pierwsza z tych technik - psychologizująca; stosował ją wyłącznie w wersji *Wielkiego Tygodnia* z 1943 r. Do oceny bohaterów z zewnątrz, tj. z pozycji ideologicznych wzywał jednak w felietonach pt. *Po prostu* w 1945 r. Jan Kott. I nie dziwota! Ta druga technika lepiej mogła służyć propagandzie.

W wersji pierwotnej Małecki był zatem rzecznikiem-sobowtórem autora. Jego to oczyma widzimy, jak Irena staje się „wroga” i „niezycliwa” dla Polaków, ma dla ich cierpień tylko wyrazy lekceważenia. Wniosek? Żydzi - nawet ci najbardziej spolonizowani - myślą tylko o sobie i w sytuacji odwrotnej z pewnością nie przysliby nam z pomocą. Niemniej ratować ich każe nam chrześcijański obowiązek.

I rzeczywiście, Małecki bierze Irenę do domu, gdzie ją podejmuje jego żona, pozytywna katoliczka Anna. Niestety, nie ona jedna jest świadkiem jej przybycia. W sąsiedztwie mieszka szmugler Piotrowski, który - rozpoznawszy w niej Żydówkę - chce skorzystać z okazji, o co z kolei podnosi gwałt jego żona. Zmuszona do opuszczenia domu Małeckich, Irena odchodzi w swoją obcość i inność, w swój - chciałoby się rzec - allosemityzm, aby podzielić los swojego ludu.

Postulaty krytyczno-wydawnicze 1945 roku wymagały jednak wyraźnego odcięcia się od Małeckiego z 1943. Toteż autor podkreśla teraz jego przedwojenne powiązania z faszystującym ONR-em (s. 113-114). Nie dość na tym! W nowej wersji pojawiają się tu i ówdzie wyrażenie obce, utrzymane w technice oceniającej, wtręty, które na tle poprzedniego tekstu wyglądają - ni przypiął, ni przytatał.

A oto przykład pomieszenia obu technik w jednym zdaniu: Psychologizująca! „Teraz spotkanie z Ireną zaostriło w Małeckim zamęt, który w nim od wczorajszego wieczoru narastał. Poczuł się bardzo przygnębiony, ponieważ...” Ciąg dalszy w technice oceniającej: „...jako typowy inteligent należał do gatunku ludzi, którzy bez większych trudności przeciwstawiają ludzkim cierpieniom i krzywdom własne konflikty sumienia” (s. 83).

Ową typowość Małeckiego podkreśla teraz przy każdej okazji, przydając mu dla kontrastu przebieloną postać brata Julka, który idzie do getta, by walczyć u boku Żydów. Fragment, informujący o tej decyzji (s. 144-145) tak bardzo odcina się sprawozdawczym tonem od reszty, że jego przynależność do drugiej wersji nie ulega wątpliwości

Nie do przyjęcia wydaje się jednak również postawa z 1943 r. Chwila, w której płonęło getto, nie była najbardziej odpowiednia po temu, by wypominać Żydom ich wady; jeżeli - to należało uczynić to o sposobniejszej porze. Świadczy to nie o żadnym antysemityzmie, lecz o nieczułości wobec faktu zagłady Żydów. Za inny objaw tego znieczulenia można uważać opublikowaną w piśmie „Sztuka i Naród” (nr 11-12) wypowiedź Tadeusza Gajcego *Juz nie potrzebujemy*:

„Trzeba wreszcie postawić sprawę jasno i powiedzieć, że to bardzo ważne, że to zasadnicze: poezja dwudziestolecia była w ¼ obca tej ziemi i duszy człowieka tej ziemi. W twórczości poetów takich jak

Tuwim, Słonimski, Leśmian czytam ową ciągłą troskę o poprawność, polską poprawność wewnętrzną”²⁴.

Trzech znakomitych pisarzy polskich, wśród nich Leśmiana, uważa młodociany autor za „obcych”; określenie, które miało w przyszłości zrobić karierę. Jeśli ich „nie potrzebuje”, to nie z uwagi na przynależność literacką, lecz na pochodzenie: tylko ono ich łączy. Pod zarzutem „obcości” chce wyświecić ich z literatury, gdzie miejsce jest - tylko dla swoich. Na dobitkę czyni to w chwili, gdy dogorywa getto.

Sprawa nie byłaby tak tragiczna, gdyby Gajcy nie był zginął w powstaniu warszawskim, a rozwój jego nie był się zatrzymał na *Już nie potrzebujemy*; a także - gdyby w latach sześćdziesiątych niefortunnej tej wypowiedzi nie była podchwyciła dla celów bynajmniej nie literackich pewna grupa polityczna. Ale o tym - za chwilę.

2. Czesław Miłosz, czyli poczucie współodpowiedzialności za zagładę

A jednak powstawały za okupacji i utwory, ujmujące sprawę żydowską w mniej nacjonalistycznym duchu; mam na myśli *Campo di Fiori* i inne wiersze Miłosza. Nie przynależność narodowa dzieli palonego na rzymskim placu Giordana Bruna od przyglądającej się jego śmierci gawiedzi; dzieli ich różnica losu - ta sama co Żydów od Polaków.

Cóż można tu poradzić? Czy zachęcać do niesienia pomocy ginącym? Nie, literatura nie po to jest, by agitować do czynu; właściwym jej zadaniem jest przekazanie pamięci tego, co się stało, „Aż wszystko będzie legendą - I wtedy po wielu latach - Na nowym Campo di Fiori - Bunt wznieci słowo poety”.

Bezsilne niegdyś słowa, nakreślone w Warszawie 1943 roku - znaczą dziś więcej niż pomoc dla ginących; ratują honor polskiej literatury.

Wierszem od *Campo di Fiori* - nie tylko znaczeniowo, lecz także dlatego że rozgrywa się w podziemiu - ciemniejszym jest *Biedny chrześcijanin* patrzy na getto. Oto żydowska dzielnica jest już tylko kupą rumowisk, plądrowaną przez szabrowników, których działalność przyrównuje poeta do działalności mrówek i pszczoł: człowiek niewiele się tu różni od owada:

Pszczoły obudowują czerwoną wątrobę,
Mrówki obudowują czarną kość
.....
Wali się w ogniu dach, ściana i żar ogarnia
fundament
Jest już tylko piaszczysta, zdeptana, z jednym
drzewem bez liści Ziemia.

Wizja schowków i nor, gdzie ginęły niedobitki żydowskiego powstania, wywołuje obraz strażnika podziemnego - ni to człowieka, ni to kreta, który z latarką, przytwierdzoną do czoła, rozświecila ciemności:

Powoli, drążąc tunel, posuwa się strażnik-kret
Z małą czerwoną latarką przypiętą na czole.

²⁴ W tym miejscu omyłka druku: miało być chyba „zewnątrzną”. (Tę poprawkę wprowadził Z. Jastrzębski, który opracowywał tekst dla „Współczesności”.)

Dotyka ciał pogrzebanych, liczy, przedziera się
dalej.

Ów strażnik z latarką u czoła kojarzy się poecie z żydowskim patriarchą, który przywiązał sobie do czoła skórzany sześcienn modlitewny i który pochyła się nad nim - jak nad trupem:

Boję się, tak się boję strażnika-kreta.
Jego powieka obrzmiała jak u patriarchy,
Który siadywał w blasku świec,
Czytając wielką księgę gatunku.

Na zakończenie - przeniesienie w świat ludzki: odpowiedzialność za to, co zrobiono z Żydami, spada na „Żydów Nowego Testamentu”, na „nieobrzezanych”, którzy chcąc nie chcąc stali się „pomocnikami śmierci”. Cóż owemu patriarsze mam powiedzieć - zastanawia się poeta -

Cóż powiem mu, ja, Żyd Nowego Testamentu,
Czekający od dwóch tysięcy lat na powrót
Jezusa?
Moje rozbite ciało wyda mnie jego spojrzeniu
I policzy mnie między pomocników śmierci:
Nieobrzezanych.

Ze świata przyrodniczo-owadziego przemieszczamy się tym samym ostatecznie w świat ludzki: w dziedzinę moralności.

3. Mieczysław Jastrun, czyli spowiedź „marana”

Compo di Fiori ukazało się w okupacyjnym zbiorze *Z otchłani* złożonym z utworów poetów różnych - wówczas oczywiście nie podpisanych. Otwierają go wiersze Mieczysława Jastruna, niektóre znane z późniejszych wydań, inne nie wznawiane więcej lub też wznawiane ze skrótami. Wierszem całkowicie pomijanym jest *Pieśń żydowskiego chłopca*, gdzie znajdujemy takie oto zwrotki:

Człowiek może wskazać,
Powiedzieć słowo
Jak ogień, jak zaraza.
O moja głowo!
Boję się własnych rąk, boję się własnych stóp,
Że mnie wydadzą.
Mój własny cień kopie mi grób.
Nie mam nad nim władzy.

Jest to spowiedź człowieka, który się ukrywa; fakt, że jej poeta nie wznawia, jest wielce znamienity: nie tylko ukrywał się za okupacji, lecz także ukrywał, że się ukrywał. Taki Leśmian nie tał bynajmniej swego pochodzenia ani nazwiska. Tu jednak dochodzi nowy czynnik: strach. Jastrun przemilcza nie tylko swoje pochodzenie, lecz także - swoje aryjskie papiery.

Krytyka literackiego obchodzi sprawą o tyle, że zachowały się jej ślady, jak owa *Pieśń żydowskiego chłopca*. Zachowały się jednak i inne - równie pozacierane. Są np. pretensje do społeczeństwa

polskiego o stosunek do Żydów. I nie tyle one same nas rażą: znamy je z Miłosza. Dziwi nas, że skreślił po wojnie taką oto zwrotkę z wiersza *Żydzi*:

Gdyście ustami jak rany
pragnący wołali wody
z pociągów o drutowanych,
nikt wody nie podał.

Wszystkie te półwyznania świadczą o dużym stopniu niekonsekwencji, która rozsadza jego twórczość. Istnieje jednak utwór, gdzie dokonuje się ów niemożliwy aliaż podskórnej tematyki żydowskiej z - właściwym późniejszemu Jastrunowi - stylem polsko-romantycznym. Mam na myśli najlepszy jego utwór, ów kordianowo-Wyspiański *Sen nocy zimowej*, śniony w okupacyjnych łazienkach, zakończony buntem podchorążych:

Drzwi wyważone! W białą sień
Podchorążowie biegną.

Początek poematu nie jest jednak listopadowo-powstańczy. Utwór na pozór eschatologiczny rozgrywa się wśród „duchów tej okrutnej zimy”, wśród „umarłych, żywcem pogrzebanych, umęczonych”. Ale ci umarli są także żywymi ludźmi, którzy, zamurowani - taki był ówczesny los Żydów - czekają w ukryciu na wyzwolenie:

Przechodzą dni i noce, i wieczory
Oczekiwanie - w których mur się kruszy,
Śnieg mokry pada albo popiół prószy,
Zamurowane okna, czarne story...

Właściwa Jastrunowi mglistość i niewyraźność pozwala na tworzenie tego rodzaju dwuznacznych obrazów, gdzie - jak granica między śmiercią a zamurowaniem - tak i granica między „marańską” tematyką i arcyorską szatą stylistyczną zaciera się i zanika.

W tym miejscu musimy wrócić do naszych rozważań wstępnych „Gdybyśmy chcieli - rzekło się tam - poprzestać wyłącznie na samookreśleniu, musielibyśmy przyjąć za dobrą monetę wszystko, co jednostka mówi o sobie: otóż nie zawsze mówi ona prawdę”. Bywa - dodaliśmy po chwili - że „ktoś, kto o swym pochodzeniu mówi raczej niechętnie, musiał się za okupacji ukrywać, ponieważ określił go w ten sposób okupant”.

Obiecaliśmy przytoczyć przykład takiej sytuacji. Obecnie mamy go przed oczyma - tym bardziej wymowny, że - niekonsekwentny. Jastrun to czyni wyznania pochodzeniowe, to je skreśla i cofa. Temu brakowi konsekwencji i - nazwijmy rzecz po imieniu - autentyczności przypisać należy - sędzę - zygzakowaną linię tej twórczości.

Rozdział V

LWÓW 1939-1941. FRONT WSCHODNI PIERWSZE LATA POLSKI LUDOWEJ

W zajętych przez armię radziecką Lwowie funkcjonuje w latach 1939-1941 - rzecz w międzywojennej Rzeczypospolitej nie do pomyślenia - trójnarodowy Związek Pisarzy: ukraińskich, polskich, żydowskich. Jego sekcja polska to jedyny podówczas zorganizowany ośrodek naszej kultury na świecie. Po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej w 1941 ulegnie ona rozbiciu: jedni pisarze dadzą się zagarnąć przez Niemców, inni ujdą w głąb ZSRR, gdzie od 1943 polskie życie literackie nabierze nowego rozmachu: będą się rodzić - gatunek najłatwiejszy do uprawiania w sytuacji tymczasowej - związane z faktem powstania wojska i z wojną wiersze.

By wrócić do punktu wyjścia, tj. do roku 1939: warto podkreślić, że stosunki między nową władzą a tak reprezentatywnym dla polskiej inteligencji radykalnym pisarzem, jak Boy-Żeleński, układają się bezkolizyjnie. Otrzymuje on na uniwersytecie lwowskim katedrę literatury francuskiej, której mu odmawiano w Polsce; ogłasza też w „Czerwonym Sztandarze” szkice o Balzaku i o pani Hańskiej - tyle, że teraz jest to nie *Balzac w Polsce*, lecz *Balzac na Ukrainie*.

Jeżeli taka jest postawa Boya, cóż rzec o pisarzach polskich pochodzenia żydowskiego? Druga Rzeczpospolita była dla nich nie matką, lecz macochą: lżeni, poniżani, z utrudnionym dostępem do uniwersytetów, z niemożliwym - do państwowej pracy, teraz, jeśli byli nawet niedogrzani i nie dokarmieni, to - pospół z innymi. Dodajmy, że o parędziesiąt kilometrów na zachód nienawiść do nich sięga właśnie paroksyzmu.

Nie mogli, oczywiście, nie dostrzegać - symptomatycznych dla okresu - oznak zdogmatyzowania i zubożenia kultury, zdrętwienia języka, wszechafirmacji i wszystkochwalstwa; niebawem miały ich przerazić aresztowania i deportacje. Był to jednak drobiazg wobec faktu wyzwolenia spod ciężącego nad Europą i nad Polską koszmaru hitleryzmu. Trudno więc mieć za złe St. J. Lecowi taką oto zwrotkę. Cytuję z pamięci:

Którą poeci opiewali,
Ojczyzna, co to od Kamczatki
Na szynach biegnie aż po San,
Którą jak mleka pełny dzban
Podają dzieciom czułe matki –
To Stalin.

Złożony z elementów tak bardzo różnorodnych, Związek Pisarzy okazał się tworem sztucznym. Po czerwcu 1941 ukrywane niechęci miały ożyć ze zdwojoną siłą. O sprzyjanie władzy radzieckiej miano teraz - zgodnie z mitem żydokomuny - oskarżyć głównie Żydów; ich też mordowały masowo po wkroczeniu Niemców organizowane naprędce patrole ukraińskich faszystów. Sztuczny charakter internacjonalistycznej sielanki wyszedł na jaw w całej pełni.

Ale dawał on znać o sobie już teraz - jako groteska. Przykładem niech będzie powstały w Związku Pisarzy pomysł, by różnojęzyczni poeci podjęli się pracy nad zespołowym poematem *Szczęśliwy rok*, którego poszczególne partie, przetłumaczone na trzy języki, złożąby się na trzy równoległe utwory-giganty. Pomysł przyjęto z entuzjazmem, jedyne zaś zastrzeżenie - podniósł je Lucjan Szenwald - było natury wersyfikacyjnej: jakie znaleźć wspólne dla trzech języków metrum?

Wszelki dogmatyzm - by wrócić do cechy zasadniczej okresu - to ma do siebie, że nie uznaje cudzych kategorii myślenia, że przekłada je na własny język, który uznaje za jedynie obiektywny. Kategorie

rasowe, jakimi operowali hitlerowcy, uważano za ich przekonanie subiektywne. Faktycznie mieli oni bronić interesów imperializmu, ich zaś antysemityzm - wynikać z niezrozumienia sensu własnej ideologii.

Niestety, skutki tej ich subiektywnej postawy miały się okazać całkowicie obiektywne, rezultatem zaś była zagłada Żydów. Faktu tego nie przyjmowano długo do wiadomości; jeszcze z początkiem lat sześćdziesiątych falę oburzenia miał wywołać poeta Jewgenij Jewtuszenko, gdy wspominał, że w Babim Jarze rozstrzeliwano - bądź co bądź - Żydów.

Na razie jednak - począwszy od czerwca 1941 - Związek Radziecki znalazłszy się we froncie antyhitlerowskim, walczy z niesłychaną ofiarnością i z olbrzymimi stratami w obronie interesów ludzkości. Okres wojny jest tam - przynajmniej w tych aspektach, które dochodzą do powszechnej świadomości - czasem moralnego oczyszczenia i stanowi eo ipso nie lada szansę dla artystów.

W ogóle dla skrępowanych zazwyczaj rozmaitymi tabu polskich pisarzy wojna stanowi szansę. Niejeden daje wówczas najlepsze, jeśli nie jedynie dobre, swe utwory. W kraju Andrzejewski - widzieliśmy - może sobie pozwolić na luksus szczerości, który mu niebawem zostanie odjęty. Na Wschodzie swoboda jest innego rodzaju: pisarze zawdzięczają ją zgodności linii osobistej z - oficjalną.

Zwłaszcza ci, których omawiamy w niniejszym szkicu, a których najbliżsi giną właśnie po drugiej stronie frontu, trafiają, dając wyraz swym niepokojom najbardziej osobistym, zarazem w sedno wymagań oficjalnych. Najlepsze swe utwory - i najlepsze w ogóle okazy powstałej tam literatury - dają w tym okresie Lucjan Szenwald i Adam Ważyk.

1. Odrodzenie przez Syberie

Pierwszy z nich nie miał napisać nic więcej; zginął na przyfrontowej szosie w wypadku samochodowym w 1944. W połowie lat trzydziestych, zwrócił na siebie uwagę tym, że odnalazł zagubioną drogę do epiki, że zdobywał się na poematy, które - na skutek awangardowych ideałów kurczowej zwięzłości - wydawały się niemożliwe. Mimo że był komunistą, nie był awangardzistą: znika u niego - tak znamienne dla lat dwudziestych połączenie radykalizmu społecznego z artystycznym. - Programowy tradycjonalista, przywiązuje ogromną wagę do wersyfikacji: on to przecie podniósł w sławetnej dyskusji nad zespołowym poematem zastrzeżenia natury metrycznej.

Na razie ludowa jego tematyka kłóci się z klasycyzującą formą. W *Scenie przy strumieniu* (1936) czy w *Rowerze* (1937) aliaż ten robi wrażenie - ni przypiął, ni przyłatał. Coś w rodzaju klasycyzującego stylu empire narzucił już jednak literaturze i sztuce radzieckiej Zjazd Pisarzy z 1934, likwidując grupy i grupki oraz proklamując socrealizm: stylu tego okazuje się Szenwald nieświadomym adeptem, na terenie zaś polskiej poezji prekursorem.

I on, jak Peiper, traktuje poezję jako zespół - nie awangardowych już, lecz klasycyzujących - chwytów i sposobów. Oczywiście, pytanie: do jakiego stopnia takie podejście można uważać za dziedzictwo „rabinackich szkółek” (określenie Gałczyńskiego), niewiele ma w tym wypadku sensu. W okresie gwałtownie wzrastającego udziału Żydów w kulturze polskiej pojęcia „Żyd” i „inteligent” zaczynają się do siebie zbliżać.

I jeden i drugi marzą o zespoleniu z ludem, o regeneracji przez fizyczny wysiłek; marzenie, obecne od pierwszej chwili w poezji Szenwalda. Dopiero jednak w *Pożegnaniu Syberii* (1943) miał się on wyżyć ostatecznie - jak to sam określa - „resztki zawitych wykwintów” inteligenckich. Poemat ten (który

Miłosz nazywa jednym „z piękniejszych, tak jest, polskich wierszy”²⁵) to panegiryk na cześć - tak nienawistnej polskiemu sercu - krainy zesłańców oraz formującego się tam wówczas wojska. Przy okazji rozwiązuje jednak autor i problemy osobiste.

Nie równouprawnienia narodowego szukał Szenwald w szeregach KPP. Pochodzeniem swym mało się interesował; szukał kontaktu z ludem, a poprzez lud - z przyrodą. Jeżeli w rezultacie specyficznego trybu życia Żydzi oderwani byli od przyrody, a i cielesnie nieraz zdegenerowani, to w poezji tej znajduje wyraz wola samolecznictwa - z tym, że to, co o Żydach, można powiedzieć i o inteligentach w ogóle.

Nie bez kozery obowiązuje w kibucach palestyńskich - jako reakcja na degenerację i przeintelektualizowanie - kult pracy fizycznej. Poeta hebrajski, Abraham Szlonski, który - po przyjeździe do Palestyny - zaczął w latach trzydziestych od pracy pastucha, poświęca szereg olśnionych - i olśniewających - wierszy tamtejszej przyrodzie. Obaj poeci - tego samego pochodzenia, choć odmiennej narodowości i przekonań - stają wobec zagadnienia podobnego: postawa obu wyrasta z tęsknoty za odrodzeniem cielesnym.

Ze zwrotką Szlonskiego:

Pustynio boska! Chciej mnie usynowić,
jak oset dziki,
jak skrzywiony pniak!
Swym złotem zechciej stopy moje spowić!
Rękoma każdy niech uścisknę krzak!²⁶
.....

porównajmy taką oto wypowiedź Szenwalda z *Pożegnania Syberii*:

..... Ja tej ziemi
Zawdzięczam odnowienie,

a przekonamy się, że przy wszystkich różnicach - języka, osobowości, poetyki, klimatu - jest tu jednak coś pokrewnego: radość z odnalezionego kontaktu z naturą i z własnym ciałem

Historia potwierdziła zatem ów absurdalny na pierwsze wejrzenie pomysł Szenwalda, aby ludową tematykę wyrazić w klasycyzującym stylu. Co więcej, dzięki odświeżeniu, jakie przyniosła mu wojna, oraz rozszerzeniu horyzontów, jakie dał pobyt na Syberii, mogło nastąpić przesunięcie od tematyki drobnorealistycznej do historycznej, ba! - geologicznej:

..... tu kręgi przestrzeni
Ścielą się, za horyzontem horyzont,
Niby zżęte zagony, dalej i dalej.
Tu, po śnieżystej pustce dudniąc kroczą
Słupy zorzy polarnej. Bicie serca
Przytłum: usłyszysz, jak północny biegun
Skrzypiąc obraca się na swojej osi

²⁵ Zob. *Traktat poetycki*.

²⁶ Abraham Szlonski *Szirim (Wiersze)*, Merchawia 1954, t. II, s. 217. Przekład mój - A. S.

Przy promienistym rozpękaniu lodów.

Osiąga tu Szenwald rzecz beznadziejnie, rzekłby kto, postulowaną przez teoretyków socrealizmu: dobrą poezję „pro”. Pozytywność jej nie wynika bowiem z konformizmu. Nie jest konformistą żołnierz, wykonujący rozkaz, za którego wykonanie płaci cenę życia. Zapłacił ją i Szenwald, unikając przez wczesną śmierć konformizacji swej twórczości, która - inaczej - przyjąć by musiała.

2. Awangardzista w mundurze

Nie miał jej natomiast uniknąć Adam Ważyk. Najpełniejszą charakterystykę grupy, pod której znakiem we wczesnych latach dwudziestych debiutował, tj. awangardy (głównie warszawskiej), znajdziemy u Gombrowicza. W poświęconym jej fragmencie Dziennika nie dość, że wymienia Ważyka z nazwiska, ale nawet kreśli jakby przybliżony jego portret.

„Pod tym pomyłonym niebem ileż pokraczności! Przypominam sobie dziwnie koślawe ulotki, pisemka, śmieszne manifesty (...) potężne, ale i potężnie komiczne teorie i stosy nieuniknionych tomików. Tadeusz Peiper (metafora rozkwitająca) i Stefan Kordian Gacki, i Braun, i Ważyk (...) wszystko to dla mnie było awangardą”.

A dalej: „...awangarda polska była nieuczesana, rozchełstana, bosa, była pokraką z głową rabina, z bosymi nogami wiejskiego chłopca. Była to zapadła, głucha prowincja, która, zrozpaczona własną prowincjonalnością, zamarzyła zrównać się z Paryżem, Londynem. To gremium złożone z rabinów pokurczonych, ezoterycznych i sofistycznych oraz z naiwnych, płowych łepetyn spod Kielc, Lublina czy Lwowa, odznaczało się świętą naiwnością, żarliwym fanatyzmem, konsekwentnym uporem”.

I na zakończenie: „Większość pozbawiona była tego minimum sprawności umysłowej, bez którego pisanie staje się niemożliwe: indolenci, dekadenci, marzyciele, nie douczeni, nie donoszeni - ponure twory gett polskich, obywatele polskiej zapadłej dziury, uciekali od własnej biedy w dumne prekursorstwo: to było szukanie wybawienia...

Które przyszło (...) Pewnego dnia Polska Rzeczpospolita Ludowa zabrała się do nich i wyznaczyła im rolę - odtąd weszli w skład literatury urzędowej i przemienili się w biurokrację sztuki. Ponieważ zawsze byli poza sobą, nie znosząc prawdy o sobie i własnym istnieniu, sztukując rzeczywistość snem, abstrakcją, teorią, estetyką, więc nie mieli wiele do stracenia i nawet bodaj nie zauważyli, że coś nieprzewidzianego z nimi się stało”²⁷.

Charakterystyka - ściśła do najdrobniejszego szczegółu. Rzeczywiście, skład naszej awangardy był żydowsko-chłopski: Peiper i Przyboś uzupełniają się nawzajem - pokpiwali Skamandryci - w Peibosia. I ci, i tamci byli homines novi w kulturze: asymilujący się Żydzi musieli się jej uczyć jako zespołu chwytów i sposobów, przybywający do metropolii chłopi przyjmowali wszystko - od metafory rozkwitającej po pederastie - jako stołeczny rytuał, jako coś, co wypada.

Tekst Gombrowicza powstał przed 1956. Mówiąc o przemianie awangardy w biurokrację sztuki, nie mógł przewidzieć -jednak dalszych jej przemian: oto, że po Październiku, gdy terror intelektualny, którego byli narzędziami, osłabnie, wrócą - niby odgięta gałąź - na dawne pozycje i znowu zaczną marzyć o tym, by zrównać się z Paryżem, Londynem.

²⁷ Witold Gombrowicz *Dziennik* (1953-1956), Paryż 1957, s. 238-239.

Nie uwzględnił jeszcze jednego: oto, że dla tego gremium, które nie wiedziało „co”, zawsze zaś przykładało się do rozmaitych „jak”, wojna miała stanowić szansę niepowtarzalną. Esencją sztuki niemożliwej, o jakiej marzyli, były zawsze owe Szenwaldowskie „zawiłe wykwynty”; zawsze - mądrzyli się i mizdrzyli. Otóż - nie można mizdrzyć się nad grobem.

Wojna jest z istoty manichejska, uwalnia od wahań, dzieli świat na dwa fronty, narzuca nieodparte „co”. Nie tylko Szenwaldowi, który już dawniej był komunistą, ale także Ważykowi, który był recenzentem kinowym „Naszego Przeglądu”, poza tym zaś szachistą-szaradzystą, podrzucić ona miała - by użyć Miłoszowskiego określenia - parę „pięknych, tak jest, polskich wierszy”.

Nie jakoby był pozbawiony „minimum sprawności umysłowej”. Starczyło jej jednak tylko na rozwiązywanie krzyżówek formalnych, ba! - na rzecz wśród literatów arcyczadką, na studia matematyczne, którym się oddawał. Po co mu matematyka? - dziwili się kawiarniani bywalcy. Gdyby czytali jednak powieści Ważyka (zajęcie niełatwe), znaleźliby gotową odpowiedź.

Daje ją w *Mitach rodzinnych* niejaki Ambrodziewicz, który z tymi oto słowami zwraca się do Maksa Blaufelda. Wierzy pan - mówi - w twierdzenia matematyczne, „bo jako emancypujący się Żyd nie ma pan innej wiary. Siłą kontrastu szacunek pana dla wiedzy ścisłej wzrasta na tle chwiejności we wszelkich innych sprawach”²⁸.

Do tej „chwiejności we wszystkich sprawach”, czyli absolutnej „bezdogmatyczności” połączonej z zamiłowaniem do wersyfikacyjnych krzyżówek, przyzna się zresztą w późniejszym *Sercu granatu* sam Ważyk. W szufladzie brata-samobójcy - pisze:

...leżały drobiazgi nieużyteczne jak on:
zepsuta zapalniczka, drobne wynalazki,
sztuczki magiczne, które lubił bardzo –
to zastępowało mu rymy i asonanse.

Szkic pamiętnika

Na widok żonglującej piłkami cyrkówki powie:

Ja także niegdyś żonglowałem
w poszukiwaniu dyscypliny,
traciłem lata, słowa, serce –
więc żal mój kocha się w żonglerce...

Poemat sprzężony

W latach międzywojennych niepokoiły go - pisze w tymże zbiorze - inne jeszcze zjawiska: „powieści nie napisane - obumarłe przed narodzeniem, nuda i czczość, zwiastujące wojnę”. Do tych obumarłych przed narodzeniem powieści należy chyba zaliczyć i romans ze świata końskiego, *Inkipo*, który nie doszedł do skutku, a któremu poświęca teraz tylko jeden - ale za to jakże udany! - wiersz:

Inkipo, końskie miasto, gdzie różowe klacze,

²⁸ *Mity rodzinne*, Warszawa 1947, s. 100. - Podobne zdanie wypowiada o przedwojennym Ważyku A. K. Waśkiewicz: „Była to osobowość (...) jakoby „niegotowa”, pozbawiona zakorzenienia i dlatego gotowa przyjąć gotową już ideologię, jeśli jest na tyle koherentna, że zwolni od wewnętrznych rozterek”. (*Miejsce Ważyka*, „Ruch Literacki”, Kraków, maj - czerwiec 1981, s. 179).

wyrastające nad ludzi, na przełaj stuleci
biegły, żegnaj, Inkipo.....

Pożegnanie Inkipo

Prócz nie napisanych były jednak, niestety, i powieści napisane, jak chociażby owe *Mity rodzinne*. Rzecz - zacznijmy - dzieje się w środowisku niemożliwym: niemożliwe są fakty, niemożliwe obyczaje²⁹ niemożliwe - rzekomo polskie - nazwiska, niemożliwy - cały styl bycia. Nie do pomyślenia jest np., aby wśród tych - rzekomo rdzennie polskich - mieszczan nie znalazł się ani jeden antysemita.

Ale bo też rzecz, aby uzyskać pewien stopień prawdopodobieństwa, winna by się dziać w środowisku żydowskim. Bohaterami jej są - ukryci pod nieudolnie skleconymi polskimi nazwiskami (Wieligocki, Mokomaski) - Żydzi, utrzymujący się - jak to w owych czasach - z pokątnych afer, Żydzi, do cna wytarci, nigdzie nie przynależni, z niczym nie związani, udręczeni bezgranicznie nudą i czczością swego dnia powszedniego.

Na podobnej zasadzie, co powieści, tj. na nizaniu niezhierarchizowanych obserwacji, które do niczego nie prowadzą, oparte są i jego ówczesne wiersze. Jakim jednak sposobem mogło powstać - zapyta ktoś - i to w surowych warunkach wojny, *Serce granatu*, tak odmienne od wszystkiego, co pisywał dotąd? Już sama forma jest tu odmienna; nizanie równorzędnych zdań ustępuje miejsca architektonicznej ich konstrukcji, zawiłe wykwinty awangardowe znikają, sztuczki magiczne, jeśli nawet pozostają, to czemuś służą. Czemu mianowicie?

Otóż owemu specjalście od „jak” wojna podsunęła „co”, włożyła w mózg ideologię, na którą go dotąd nie było stać, w ręce dała broń, w pierś serce. Od najbliższej osoby oddzielił go front, za którym - pisze teraz w *Doświadczeniu* - „najdroższe, złęczone ze mną - serce umiera”. W tych wierszach wracają obsesyjnie dwa motywy: broni oraz kobiety walczącej. Tą podwójną inspiracją tłumaczy się sam tytuł *Serce granatu*.

Wojna nie mogła jednak trwać wiecznie: dla przybyłych ze Wschodu pisarzy zakończyła się z ofensywą styczniową. Odkąd osiedli w Łodzi czy w Krakowie, zaczęło się dla nich normalne życie literackie. Wojenny manicheizm stracił uzasadnienie, przeobraził się w dogmatyzm, którego Ważyk okazał się jednym z głównych filarów.

Przez lat bez mała dziesięć³⁰ był oficjalnym autorytetem artystycznym. Pisze dramaty, które - natychmiast wystawiane - niechybnie się kładą³¹; scenariusze, które - natychmiast nakręcone - spotyka los podobny³²; za drobnoszlachecką ideologię gromi Norwida³³, za służenie śmierci atomowej

²⁹ „...ciotka Ksawera – czytamy np. ze zdziwieniem na s.36 – wiedziała, że socjalistom nie wolno używać szczotek” (?)

³⁰ Tj. do 1954, gdy zostaje usunięty ze stanowiska redaktora naczelnego „Twórczości”.

³¹ *Stary dworek* (Łódź 1945) wystawiony przez Teatr Wojska Polskiego w Łodzi oraz przez Teatr Polski w Poznaniu.

³² *Niedaleko Warszawy* (dramat sensacyjny o udaremnionej przez kolektyw wielkiej hutę akcji sabotażowej). Scenariusz - Adam Ważyk, reżyseria - Maria Kaniewska. Wyświetlany w 1954.

³³ Adam Ważyk *O Norwidzie i norwidyzmie*, „Odrodzenie” 1945, nr 16.

- producentów coca-coli³⁴. Wygłasza programowy referat na V Zjeździe Związku Literatów Polskich³⁵, przenosi językoznawcze tezy Stalina do metodologii badań literackich³⁶.

On to prowadzi batalię przeciw formalizmowi, ówczesnemu wrogowi nr 1. Kiedy jednak obserwujemy zaciekłość, z jaką tępi - jako politycznie podejrzany - toniczny ośmiozłotkowiec, czy oddaje się orgiom nienawiści na widok rymów męskich³⁷, zaczynamy podejrzewać, że - pod pozorem walki z formalizmem - mamy tu do czynienia z najbardziej pokretnym jego rodzajem.

W tuż powojennych miesiącach, dyktatura ta, którą światek literacki jest na poły przerażony, na poły ubawiony, poparta jest autorytetem kapitańskiego munduru oraz dyndającego u pasa rewolweru. Gdyby Rubel - pokpiwa Słonimski - znalazł się, dajmy na to, w Łodzi, a Grosz, dajmy na to, w Londynie, pierwszy pisałby, co drugi, drugi - co pierwszy. Jedno jest wszakże - kończy - pewne: „I tylko Ważyk w Londynie / Nie byłby oficerem”³⁸.

Awangarda międzywojenna przeobraziła się zatem nie tylko w biurokrację sztuki ale i w jej generalicję; marzenie o sztuce niemożliwej znalazło spełnienie w oficerskich szlifach. Ile w tym było z odgrywania się za minione upośledzenia, ile zaś wynikało po prostu z braku cywilnego garnituru, trudno dziś, oczywiście, dociec.

3. „Wściekli czerwoni encyklopedyści”

Ważyk to - obok Kotta - główny teoretyk literacki łódzkiej „Kuźnicy”, organu rzeczników ideologu partyjnej, czyli „wściekłych, czerwonych encyklopedystów”³⁹. Pierwotny skład redakcji (Z. Nałkowska, A. B. Dobrowolski, M. Jastrun, J. Kott, A. Rudnicki, S. Żółkiewski) został - pisze Koźniewski: „już od jesieni 1945 powiększony o K. Brandysa, S. Dygata, P. Hertza, R. Matuszewskiego, S. Pollaka, A. Sowińskiego, A. Ważyka, J. Żuławskiego”⁴⁰.

Czyż nie zaskakuje fakt, że na 12 członków redakcji „Kuźnicy” (bo „udział Nałkowskiej oraz prof. Dobrowolskiego miał - zaznacza Koźniewski - charakter pięknego symbolu”) aż siedmiu jest pochodzenia żydowskiego? Fakt dla ówczesnej sytuacji reprezentatywny: ten sam, co w „Kuźnicy”, miał być ich udział i w innych rządowych instytucjach. I czyż należy w takim razie się dziwić, że Artura Sandauera który - jedyny spośród literatów łódzkich żydowskiego pochodzenia - nie wszedł do tej redakcji, „Tygodnik Powszechny” potraktował - piórem Stefana Kisielewskiego⁴¹ - jako „sympatyczny” wyjątek?

Dotykamy tu brzemiennej w skutki sprawy, o której napomykało się dotąd półgębkiem; środowisko literackie jest tylko jej symbolem. Oto mimo okupacyjnej zagłady Żydzi pojawiają się nader licznie jako pełnomocnicy nowej władzy, która nie dość, że nie przeszkadza obejmowaniu przez nich wysokich stanowisk, lecz wręcz przeciwnie, faworyzuje ich, sugerując jedynie zmianę nazwisk. Złowrogi skutki tego maranizmu dadzą znać o sobie w ćwierć wieku później.

³⁴ Adam Ważyk *Piosenka o coca-coli*, w: *Nowy wybór wierszy*, Warszawa 1950.

³⁵ Adam Ważyk *Perspektywy rozwojowe literatury polskiej*, „Nowa Kultura” 1950, nr 14.

³⁶ Adam Ważyk *Do zagadnień formy wierszowej*, „Pamiętnik Literacki” 1951.

³⁷ Adam Ważyk *Mickiewicz i wersyfikacja narodowa*, Warszawa 1951, s. 116-117.

³⁸ Antoni Słonimski *Igraszki losu*, cyt. za: *Alfabet wspomnień*, Warszawa 1975, s. 9-10.

³⁹ Określenie Kazimierza Koźniewskiego.

⁴⁰ Kazimierz Koźniewski *Historia co tydzień*, Warszawa 1977, s. 87 i s. 105.

⁴¹ Stefan Kisielewski *Sandauer w opalach*, „Tygodnik Powszechny” 1945, nr 20.

Za faworyzowaniem ich przemawiają, aż trzy względy: 1) nader duży procent Żydów w międzywojennej KPP; 2) fakt, że w czasie wojny większość ich szukała schronienia w Związku Radzieckim, skąd teraz powracali w glorii oficerskich mundurów; 3) to, że mniej podejrzani o konszachty z rządem londyńskim - cieszyli się eo ipso większym zaufaniem.

Nie znaczy to, oczywiście, jakoby nową władzę poparli wyłącznie Żydzi: w okresie tak świeżej jeszcze pamięci hitleryzmu opowiedziała się za nią przytłaczająca większość inteligencji twórczej, wystarczy sięgnąć do ówczesnych pism. Nie mówiąc o Broniewskim, Tuwimie czy Słonimskim, do Polski wraca niebawem Gałczyński, który w krótkim czasie prześciga innych w prorządowości.

Jeśli o Żydów chodzi: ich podział na asymilatorów i Żydów narodowych zaznacza się w tym okresie bardzo wyraźnie. Znaczna część tych ostatnich usiłuje się przedostać przez zieloną granicę. Na cmentarzu żydowskim w Krakowie napis na jednym z nagrobków głosi o rozstrzelaniu - przy próbie przejścia - 17 członków organizacji „Gordonia” przez bandę Ognia. Napis ocalał przed konfiskatą przypuszczalnie dlatego, że zredagowany był po hebrajsku.

Dochodzimy do sprawy pośrednio z naszym tematem związanej. Antysemityzm powojenny nie dotknął tych, których chroniły wysokie stanowiska; dotknął biedoty żydowskiej, która - uniknąwszy cudem zagłady - czekała na możliwość emigracji. 4 sierpnia 1946 motłoch kielecki załukał 42 osoby pod pretekstem dokonanego jakoby na chrześcijańskim dziecku mordu rytualnego: dziecko miało się odnaleźć nazajutrz.

Oddźwięk tej sprawy - a był olbrzymi - miał ostatecznie ugruntować opinię o nas jako o „klasycznym kraju antysemityzmu”. Po doraźnych protestach nastąpiło wieloletnie na ten temat milczenie; dziś nikt już o tej sprawie nie pamięta, młodzież obrusza się, gdy o niej napomknąć. Rzecz przeszła bez większego śladu, sumień nie przeorała.

Czy jednak rzeczywiście - powie kto - dokonała tego ludność miejscowa? Kilka lat temu jeden z ideologów obozu narodowo-pragmatycznego wywodził w mojej obecności, iż Żydów kieleckich kazali wymordować Żydzi z łódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa, czyli że - jak powiada Gogol - „unteroficerskaja wdowa sama siebie wysiekła”. W złagodzonej formie - bez aluzji do łódzkich Żydów - podaje tę samą wersję Aleksander Watt⁴².

Marek Hłasko (przebywający podówczas w Izraelu) lituje się z kolei nad Żydami, których do pracy w Urzędzie - jak pisze - „zmuszono”, ba! - wyraża zdziwienie, że żaden z publicystów polskich nie wziął ich dotychczas w obronę⁴³. Jest to jednak odwracanie kota ogonem. Ci, którzy do pracy w tym urzędzie dali się jakoby zmusić, powinni byli wiedzieć, że biorą za to pełną odpowiedzialność - osobistą i ideową. Jeśli kto zasługuje na litość, to nie oni, lecz ofiary kieleckiego pogromu, które marzyły tylko o tym, aby Polskę opuścić.

Co się tyczy tezy, jakoby był on wynikiem prowokacji, to trzeba stwierdzić, że jest ona absolutnie nieudokumentowana i wyraża jedynie pobożne życzenie. Założywszy jednak nawet, że była to prowokacja, to dla tej ostatniej trzeba dwu stron: obok prowokujących potrzebni są i - sprowokowani. Pogrom kielecki jest nie do pomyślenia bez tłumu uzbrojonego w koły, noże i siekiery, bez tłumu, który wierzy w mord rytualny.

⁴² Aleksander Watt *Mój wiek*, Londyn 1977, s. 148.

⁴³ Marek Hłasko *Piękni dwudziestoletni*, Paryż 1966, s. 111.

Rozdział VI

NA MIĘDZYNARODOWEJ SZACHOWNICY

W miarę jak wkraczamy w okres powojenny, zagadnienie tytułowe zmienia sens. Powstaje pytanie, czy w czasie, gdy wszystko - sytuacja Polski w świecie, Żydów w Polsce i poza nią - ulega zmianie, ma ono jeszcze sens w ogóle; czy wyróżnianie mianowicie pisarzy pochodzenia żydowskiego nie pachnie już teraz podejrzenie. Żyjemy przecie w państwie, gdzie antysemityzm jest zabroniony, Żydzi - równouprawnieni..

Wszystko to prawda. A jednak...

Zważywszy, że 1) najogólniejszym - warunkującym całą kulturę powojenną - założeniem jest zmiana międzynarodowej sytuacji Polski; zważywszy dalej, że 2) w czasie wojny żydostwo polskie uległo prawie całkowitej eksterminacji, musimy wpierw scharakteryzować zarówno obie te zmiany, jak i wynikające stąd dla kultury rezultaty. Zaczniemy wobec tego - zamiast wstępu - od podwójnej dygresji: pierwsza określi warunki, w jakich rozwija się odtąd cała kultura polska, druga - coś jakby pośmiertne bytowanie żydostwa polskiego.

1. Kultura pod podwójnym mecenatem

„W ustroju, powstałym w 1945 r. mecenat nad kulturą i sztuką przejmuje państwo” - pisałem w szkicu *Ewolucja polskiej poezji 1945-1968*⁴⁴. Z tego twierdzenia podstawowego wywiodłem wnioski dalsze. Snując je dzisiaj, dodałbym jednak korekturę zasadniczą: pominąłem mianowicie zmianę międzynarodowej sytuacji Polski. Po podziale świata na dwa przeciwstawne bloki stawała się ona stopniowo poligonem tego konfliktu, co nie mogło nie odbić się i na sztuce.

Wspominałem, co prawda, o pewnym aspekcie tego konfliktu: ująłem go jednak wąsko. W 1956 r. - piszę tam - powstaje wyłoniona ze związków artystycznych siła, zwana środowiskiem, która znajduje się - nie wiadomo dlaczego - w opozycji wobec owego mecenasa. Nie dojrzałem jednak (nie mogłem? nie śmiałem?) stojącej za nią - drugiej siły: mecenatu zachodniego, który wkracza całą potęgą - od 1956 r. właśnie - do naszej kultury. W związku z tym zaznacza się coraz wyraźniej rozpad sztuki - zwłaszcza zaś literatury - na dwa nurty, które nazwiemy pierwszym i drugim obiegiem.

Każdy z mecenatów ucieka się do środków odmiennych: krajowy - do nacisków administracyjnych, cenzuralnych, paszportowych, to zaostżanych, to łagodzonych; zachodni - subtelniejszy i kokietliwszy - dysponuje walutą, która - przez stypendia, zaproszenia, posady, nagrody wreszcie o dużym niekiedy znaczeniu międzynarodowym - pozwala mu sprawować władzę nad całymi połaciami naszej kultury. Oczywiście, zdobywany w ten sposób sukces międzynarodowy (jak i tamten - krajowy) bywa często pozorny; mniej pozorne są jednak - pieniądze.

Warto by zestawić nie tylko środki, do jakich się ucieka, ale i efekty, jakie każdy z tych mecenatów osiąga: znaczenie mianowicie, jakie mają ich odnośne działalności dla kultury. Na pierwsze bowiem wejście zdawać by się mogło, że - stając się przedmiotem konkurencji - pisarz polski znalazł się w sytuacji arcykorzystnej, która powinna podwyższyć poziom jego działalności.

Zależy to jednak - w myśl zasady „nasz klient - nasz pan” - od kierunku, w jakim idą zainteresowania klientów. Otóż - w odróżnieniu od dawnych, dworskich - oba mecenaty współczesne mają, niestety,

⁴⁴ „Polityka” 1979, nr 18-20. Przedruk w: Artur Sandauer ZPK, t. I.

zainteresowania - raczej doraźne. Nie tyle o wartość im chodzi, co o wydźwięk dzieła, w którym szukają atutów dla rozgrywki zasadniczej. Nie wchodząc w zestawienie ich racji (co nie jest w tej chwili naszym celem) poprzestańmy na stwierdzeniu, że oba mają skłonność, aby mianować doraźnie użytecznych pisarzy-figurantów i odrywać tym samym literaturę od publiczności.

Co się różni: działający w majestacie legalności mecenat krajowy nie ma ani finansowych środków, ani międzynarodowych koneksji tamtego. Posiada jednak - o dziwo - i pewną wyższość: od 1956 r. jest mniej od tamtego „upolityczniony”, ba! wzywając głośno do zaangażowania, po cichu od zaangażowania odpycha. Co dalej, znajdując się na miejscu, ma szerszy zasięg tematyczny, potrafi lepiej zadowolić różnorodne wymagania publiczności, która nie samą polityką się interesuje. Ma wreszcie bezpośrednie dojście do języka, podczas gdy tamten musi się uciekać do informatorów - dość nieraz stronniczych.

Siła mecenatu zachodniego polega natomiast na aureoli półlegalności, która dodaje jego pupilom splendoru w oczach naszej - niezmiernie czulej i na zachodniość, i na półlegalność - publiczności. Splendor ten zwykło się określać jako „moralizm”. Co znaczy naprawdę to słowo, miałem się okazję przekonać niedawno, czytając we włoskim dzienniku „Repubblica” wielce pochlebną recenzję filmowego krytyka Keysicha o *Człowieku z żelaza* Wajdy.

Streszczam z pamięci:

Powie ktoś - pisze włoski recenzent - że *Człowiek z żelaza* nie jest arcydziełem; byłoby to jednak ujęcie wąsko estetyzujące, podczas gdy film stanowi właśnie przejście od estetyki do etyki. Mówiąc językiem mniej wymyślnym: film jest wprawdzie niewiele wart⁴⁵, ale - czy godzi się zajmować tego rodzaju błahostkami wobec korzyści politycznych, jakie przynosi?

Kolejnym epitetem, który sztuka drugiego obiegu stosuje sama wobec siebie, jest - „wolny”. Jeśli „moralny” znaczy - jak widzieliśmy - „politycznie przydatny zachodniemu mecenasowi, to „wolny” oznacza dla niektórych „absolutnie mu posłuszny”. Sztuka drugiego obiegu ma zatem aż trzy zalety: jest moralna, jest wolna, jest na dodatek płatna w walucie wymiennej, czego o naszej, niestety, powiedzieć nie sposób: pod tym względem stosunek obu walut jest asymetryczny. Rzadko bywa, by walory duchowe pokrywały się tak idealnie z - materialnymi.

Asymetryczny jest również i stosunek obu literatur do siebie. Pisarze drugiego obiegu mogą krytykować, ba! lżyć tamtych: wzajemność jest jednak niedopuszczalna, jako że tamci uchodzą za - bezbronnych, czyli za „leżących”. Do powstania tej asymetrii przyczyniła się walenie i cenzura: przed sierpniem 1980 r. konfiskowała mianowicie wzmianki o pisarzach drugiego obiegu, co - będąc represją - stawało się mimo woli i ochroną: nie będąc wymieniani, pisarze ci nie mogli też być i krytykowani, o sobie zaś nawzajem mówili - jak najpochlebniej. Permanentne „leżenie” stało się więc swego rodzaju bronią.

Jeżeli w prasie oficjalnej z rzadka - na skutek niedopatrzienia czy wyjątkowej okazji (np. jakiejś nagrody międzynarodowej) pojawiał się artykuł o którymś z nieoficjalnych, musiał być nieodmiennie

⁴⁵ O rzeczywiście dobrym filmie Wajdy, jakim był *Człowiek z marmuru*, pisałem jeszcze w 1976 r.; artykuł ten, wielokrotnie u nas konfiskowany, ukazał się najpierw po włosku; po latach zamieściłem go w swoich *Zebranych pismach krytycznych* (t. III, s. 175-178).

utrzymany w tonie gloryfikującym. Każde słowo, które nie miało charakteru panegirycznego, było zaś próbą - nie krytyki nawet, lecz ściślejszego określenia, kwalifikowano jako – donos⁴⁶.

Stosunek obu literatur i walut oparty był zatem na braku wzajemności. Jeżeli obieg drugi miał prawo, ba! obowiązek mówić i pisać o pierwszym jak najgorzej, to pierwszy robił najlepiej, gdy o drugim - milczał: nie narażał się wówczas żadnej ze stron, krajowej ani zachodniej. Całą tę sytuację można określić jako „literaturę pod dwuwładzą”.

Powstaje pytanie, czy konkurencja ta przyczyniła się do zwiększenia - nie tyle dochodów producentów, co poziomu produkcji. Otóż zaszło zjawisko paradoksalne. Skazana przed wojną na zaścianek, literatura polska zdobywała się na arcydzieła; po wojnie wydostała się na rynki - najpierw wschodni, później zachodni, lecz - za jaką cenę?

Cenę tę płaci przytłaczająca większość utworów; polega ona na rezygnacji z ambicji artystycznych na rzecz - politycznych. Mówiąc prościej: uzależniony przed 1956 r. od mecenatu krajowego, po tym zaś roku - od obu, przede wszystkim jednak - od zachodniego, twórca polski pisze kolejno - to pod jeden, to pod drugi. Sztuka jego przestała się rządzić prawami autonomicznymi, ba! mało kto podejrzewa, że coś takiego - w ogóle istnieje.

Stąd - pod pozorem wyjścia na Zachód - faktyczne zerwanie z tym, co tam autentyczne; stąd zanik myśli artystycznej; stąd wreszcie - zanik indywidualności. Ostatnim, które je wyłoniło, było pokolenie 1956 r.; kto się jednak spodziewał, że popaździernikowe zelżenie cenzury (które pozwoliło ujawnić się uprawianej poza wszelkim mecenatem twórczości szufladowej) będzie miało skutki dalsze, musiał doznać rozczarowania.

Generacja przychodziła za generacją, nie mając nic pod względem artystycznym do powiedzenia. Przyczyny należy szukać w tym, że literatura nasza, uzależniona od podwójnego mecenatu, nie zaś od publiczności, w obu wypadkach uprawiana jest konformistycznie i sprzedażowe. A może istnieje gdzieś ta prawdziwa, tworzona po staremu - do szuflady? Lub może, jeżeli jest wydawana, nie możemy do niej - na skutek zachwaszczenia pola wydawniczego - dotrzeć?

2. Pośmiertne życie żydostwa polskiego

Jak - na tle konfliktu Wschód-Zachód - wygląda sytuacja żydostwa polskiego? Czy można w ogóle mówić o czymś takim? Żydzi to niedobitki: znikło masowe ich skupisko, owo miasteczko, „sztetl”, które urosło niebawem do rangi mitu. Czego nie dokonał Hitler, dopełnią kolejne emigracje: wymiotą z kraju tych, których nie zdołał on zgładzić. Polska stanie się rzeczywiście - wolna od Żydów.

Czy wolna też - od problemu? Boć przecie istnieje coś takiego, jak pośmiertna kwestia żydowska, pośmiertna literatura, tworzona przez nich i o nich, ba! nawet pośmiertny anty- i filosemityzm. Mówić będziemy o obydwu. Mówienie to rozlega się jednak teraz w pustce nieomal całkowitej - bez tych, którzy stanowili dotąd obiekt uczuć tak sprzecznych.

W 1947 r. Narody Zjednoczone - tytułem rekompensaty nie tylko za to, co zrobił z Żydami w ciągu paru lat Hitler, lecz i za to, co - w ciągu dwu tysiącleci ludy europejskie - postanawiają stworzyć im siedzibę - Izrael; uchwała, gorąco wówczas poparta przez blok państw socjalistycznych. Nader

⁴⁶ Wystarczy przypomnieć wrzawę, jaką podniesiono w 1976 r. kiedy odważyłem się określić poezję Herberta jako stylistycznie „wtórną”.

życzliwe początkowo, stosunki te ulegną niebawem ochłodzeniu, co nie pozostanie bez wpływu i na sytuację zamieszkałych w tych państwach Żydów.

Jeśli o Polskę chodzi: ktokolwiek się spodziewał, że Hitler zostawi ją rzeczywiście wolną od Żydów, musiał się rozczarować. Tuż po wojnie przybywają oni ze Wschodu, ujawniają się z kryjówek i z aryjskich papierów. Prawda, że jak szybko pojawili się, tak i znikają: jedni emigrują do Izraela, inni po prostu na Zachód.

Pozostają - przynajmniej na czas pewien - ci, którzy są głęboko związani z kulturą polską lub też z dawnym ruchem komunistycznym: ci ostatni znajdują się dość wysoko w hierarchii urzędowej. Aby wejść do niej, muszą jednak podkreślać swą polskość. Postulat o tyle usprawiedliwiony, że aby rządzić narodem, trzeba być z nim związanym: jego realizacja ma jednak charakter biurokratyczny.

Czasem - bywa ona oparta na machinacjach. Na niektórych wywiera się np. presję, by kryli się ze swym pochodzeniem; inni czynią to z dobrej woli. Zafałszowania zemszczą się po latach: odkopane z archiwów nazwiska posłużą jako pretekst do dyskryminacji w 1968 r., kiedy to i antysemityzm, i filosemityzm ożyją - pod zmienioną postacią.

Na polski stosunek do Żydów składały się w przeszłości dwa względy: religijny i praktyczny. Pierwszy to ów allosemityzm, przekonanie o magicznej ambiwalencji Żyda, mające korzenie w chrześcijańskiej demonologii: Żydzi to naród wybrany, który nie spełnił swego powołania. Jak Szatan - z archanioła buntownikiem, jak Judasz - z apostoła zdrajcą, tak oni - z ludu świętego stali się wyklętym. Drugi wzgląd - praktyczny - polega na tym, że nadmierna ilość czyniła z nich w handlu, rzemiośle, zawodach wolnych nader niebezpiecznych konkurentów.

Oba te czynniki ulegają po wojnie stopniowej przemianie. Owo niewyraźne poczucie, że Żydzi są w dobrym i złym tego słowa znaczeniu - czymś wyjątkowym, zaczyna - zwłaszcza wśród czulej na mody inteligencji - ewoluować. Rzadkość Żyda, jego egzotyzm staje się wabikiem - nieomal erotycznym. Większość powojennych wypowiedzi na ten temat nacechowana jest czułościową egzaltacją; takie też bywają krytyczne oceny pisanych o nich utworów.

Przypomnijmy cytowany przeze mnie w jednym z poprzednich rozdziałów znakomity fragment Gombrowicza o „narodzie geniuszów”, narodzie „twórczym, bo poniżonym”. Jest on jednak oparty, jak wiele mu podobnych, na dość ograniczonej znajomości żydostwa, dotyczy jedynie diaspory. Powstanie samorodnej ludności żydowskiej w Izraelu, tzw. „sabrów”, uszło uwadze autora.

Otóż „sabrowie” nie należy już do „narodu geniuszów”, nie jest już „twórczy, bo poniżony”. Wyzbyty jest też kompletnie cech typowo żydowskich: nie tylko psychika, także wygląd uległ zmianie. Wszystkie te allosemickie wyobrażenia miały, okazuje się, zasięg nader ograniczony: ze zmianą sytuacji zmienili się i Żydzi. Niknie podstawa dla uczuć i anty-, i filosemickich.

Niknie - ale nie w Polsce, gdzie jedne i drugie karmią się nadal tą samą pożywką. Mówiliśmy przed chwilą o kolejnym - obok religijnego - źródle antysemityzmu: o zawiści konkurencyjnej. Otóż jeśli po wojnie znikł Żyd-sklepikarz, rzemieślnik itp., to pozostał on - jako rywal-administrator. Wojna sześciodniowa była okazją, aby pozbyć się - i tego konkurenta.

Oglądane z tej - dość cząstkowej - perspektywy, wydarzenia marcowe 1968 roku są starciem dwu nastawień wobec Żydów: filosemityzmu z antysemityzmem, uczuć, zrodzonych na tle powojennych

przeobrażeń psychicznych - z powstałą na tle profesjonalnych zawiści niechęcią. Obydwa - są przedłużeniem tradycyjnego allosemityzmu: pierwsze - popularne raczej wśród inteligencji, drugie - wśród biurokracji. Warto, jeśli o tamto chodzi, zauważyć, że pierwszy to w dziejach Polski wypadek, gdy w obronie Żydów stanęła większość studentów.

Ale i antysemityzm - niemodny, potępiony przez prawo, skompromitowany przez Hitlera - występuje teraz w odmiennej niż przed wojną i jakby zażenowanej postaci, uciekając się najchętniej do kryptonimów. Metodę zapoczątkował jeszcze za okupacji Gajcy, gdy - chcąc wyświecić z literatury polskiej Leśmiana, Tuwima, Słonimskiego, zarzucił im nie - żydowskość, ale obcość.

Epitetem „obcy” szermować będzie w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ruch, który określiłem kiedyś jako narodowo-pragmatyczny. Artykuł Gajcego *Już nie potrzebujemy* treści obszernie „Współczesność”⁴⁷ w całości zamieści go na czołowym miejscu „Poezja”⁴⁸. Za każdym razem będzie to podchwytywanie ścichapek tej samej sprawy - z dodatkiem porozumiewawczego mrugania.

Pseudonim „obcy” nie będzie jedyny. Już w 1949 r. - pod wpływem pierwszych zadrażeń z Izraelem - wejdzie w użycie „kosmopolita”; w prasowych napaściach zaczną się wymieniać pierwotne - o niewątpliwie żydowskim brzmieniu - nazwisko osoby potępianej. Pod koniec lat sześćdziesiątych pojawi się fantazyjne określenie „syjonista”. Teatr R.F. nie powstydy się czynić aluzji do „kędzierzawych brunetów”. Od aluzji podobnych będzie się roić w rozmaitych „Argumentach” itp.

Zarówno w prasie krajowej, jak i emigracyjnej spotykamy się wreszcie (aby i tej sprawy nie pominąć) z przykładami antysemityzmu dorywczego i okazjonalnego. Ludzie, którym uczucie to w zasadzie jest obce, nie cofają się i przed tym - oczywiście odpowiednio zapseudonimowanym - argumentem, ilekroć mają z kimś na pieńku, chcą go usunąć w cień itp. Dzisiaj antysemitą w Polsce się nie jest; antysemitą się bywa.

Tak np. autor *Campo di Fiori*, które - pisałem gdzie indziej - „ratuje honor polskiej poezji” (oczywiście okupacyjnej), usiłuje przekonać nas, że Leśmian i Tuwim „mimo swoich słownikowych i słowotwórczych pasji mieli właściwie zasób słów nabytych w dzieciństwie dość ubogi”, jako że byli to „autorzy wielkomiejscy”⁴⁹. Nie lada wirtuozerii trzeba było, aby nazwać „autorem wielkomiejskim” rejenta z Zamościa i aby odróżnić zasób słów, nabytych przezeń w dzieciństwie, od tych, które nabył w wieku dojrzałym. W każdym razie - do arsenału pseudonimów - przybył jeszcze jeden.

Nie bardzo też, mówiąc mimochodem, tłumaczy się zarzut, który tenże Miłosz stawia Tuwimowi, jakoby mianowicie w okresie stalinowskim bywał on (podobnie jak ciemne postaci z trzeciej części *Dziadów* na pokojach Nowosilcowa) na jakichś balach UB. Ci - pisze w *Traktacie poetyckim* - którzy za młodu chodzili na występy poetyckie Tuwima, mieli go spotkać o wiele lat później - w sytuacji całkowicie odmiennej:

Aż entuzjastów, tych, którzy przeżyli,
Spotkać miał Tuwim na balu UB.
Żeby zamknęło się ogniste koło

⁴⁷ „Współczesność” 1963, nr 15. Redaktor naczelny – Andrzej Lam.

⁴⁸ „Poezja” 1969, nr 8. Redaktor naczelny – Jan Zygmunt Jakubowski.

⁴⁹ Czesław Miłosz *Diariusz paryski*, Kultura, Paryż 1960, nr 3, s.17.

I trwał, jak zawsze, Bal u Senatora.

(*Traktat poetycki - Stolica*).

Nie wiem, czy wypada nawiązywać do szeptanej propagandy wczesnych lat powojennych komuś, kto reprezentował w tymże czasie - i to w sposób o wiele intratniejszy od Tuwima - Polskę Ludową i też przecie musiał w charakterze oficjalnym bywać na niejednym przyjęciu. W związku z tym uwaga: aby spotkać Tuwima na balu UB, rozczarowani entuzjaści przedwojennej jego poezji też przecie musieli być tam obecni.

3. Spod mecenatu krajowego pod - zachodni

Na owym podwójnym - międzynarodowym i krajowym - tle kształtują się teraz losy tych spośród ludzi pochodzenia żydowskiego, którzy - nazajutrz po zagładzie - obierają lub też kontynuują - zawsze trudny, zawsze tragiczny - zawód polskiego pisarza. Na razie jednak - debiut na tym polu przychodzi im łatwiej, niż przed wojną.

Nie napotykają teraz dawnych oporów, ba! spotykają się z przyjęciem jak najżyczliwszym, co w równej mierze zawdzięczają sytuacji ogólnej, jak osobistym zasługom. Oni są autorami pierwszych piosenek żołnierskich i pierwszych filmów o okupacji; oni wykładają marksizm na łamach „Kuźnicy”, gdzie można teraz nieomal co tydzień podziwiać przedwojennego neokatolika Jana Kotta, nawróconego z kolei - na marksizm.

Upojeni sukcesem, nie bardzo zdają sobie sprawę z tego, co zaszło i - co nadal zachodzi w masach. Ich uprzywilejowanie powoduje mianowicie narastanie nowych - na razie tłumionych - niechęci. Dadzą one znać o sobie w 1956 r., w krótkim okresie odwilży, gdy pod wodzą Gomułki wróci do władzy grupa komunistów, którzy - będąc rdzennie polskiego pochodzenia i nie podlegając zatem ustawom norymberskim - spędzili okupację w kraju.

Pretensje o udział we władzach sprzed 1956 r., zwłaszcza w Bezpieczeństwie, będą się teraz kierować głównie przeciw - przybyłym licznie ze Wschodu - Żydom. W MSW było ich rzeczywiście sporo; teraz niektórych się stopniowo usuwa, innym wytacza sprawy. Nie wytacza się oczywiście spraw pisarzom, którzy wdzili rej w kulturze; sami pospieszają z odżegnaniami się od tego, co do niedawna głosili.

W poezji obrachunek z socrealizmem zapoczątkuje *Poematem dla dorosłych*⁵⁰ Adam Ważyk - ten sam, który w 1950 r. głosił na V Zjeździe Literatów Polskich w Warszawie program socrealizmu⁵¹. W prozie uczyni to opowiadaniem *Obrona Grenady* Kazimierz Brandys⁵² - ten sam, który po wspomnianym zjeździe - oświadczył się - jako jeden z pierwszych - za głoszonym tam programem⁵³.

Dowód umiejętności, z jaką przez lat dziesięć uprawiał dialektyczne odwracanie kota ogonem, złoży raz jeszcze Jan Kott w swych wystąpieniach odwilżowych; potwierdzi je w parę lat później książką *Szekspir - nasz współczesny*, która - bardziej niż do Szekspirowskiego Ryszarda III - odnosi się do Gomułki: czyż i ten - mruga porozumiewawczo autor - nie przemienił się po objęciu władzy z rzecznika wolności w despotę?

⁵⁰ Zob. „Nowa Kultura” 1955, nr 34.

⁵¹ Referat pt. *Perspektywy rozwojowe literatury polskiej*. Przedruk w „Nowej Kulturze” 1950, nr 14.

⁵² Zob. „Twórczość” 1956, z. 1.

⁵³ Kazimierz Brandys *Pomyślny wiatr „Kuźnica”* 1949, s. 32.

Oczywiście, grzeszki na sumieniu mają nie oni jedni: obrachunku z przeszłością dokonuje teraz i Jerzy Andrzejewski, i tylu innych. Wobec - zawsze podejrzanych o „obcość” - Żydów wymagania są jednak większe; odwoływania ich muszą też rozbrzmiewać odpowiednio głośnie. Jeżeli odwracają się od własnej przeszłości w sposób tak skrajny, to dlatego, że skrajni byli w dogmatyzmie: fanatyzm regresji równa się fanatyzmowi agresji.

Nie oni też pierwsi przechodzą pod zachodni mecenat: uczynił to jeszcze w 1951 r. wieloletni dyplomata Polski Ludowej, Czesław Miłosz, który niebawem osiadł na profesurze w Stanach. W ślad za nim pójdzie Jan Kott, ba! nawet tak mało w literaturze znaczący Roman Karst. Po 1968 r. we Francji zamieszka Adolf Rudnicki, we Włoszech - czynny głównie jako tłumacz - Jerzy Pomianowski; w Izraelu - Arnold Słucki oraz Stanisław Wygodzki, który tam dopiero napisze pierwsze przejmujące wiersze o Polsce⁵⁴.

Przyciąganie Zachodu jest w ogóle olbrzymie, jego wyższość - ekonomiczna i kulturalna - oczywista. Pośród pisarzy, którzy emigrują, procent ludzi pochodzenia żydowskiego jest jednak znacznie większy. Nie niedobitki tego narodu przenoszą się już teraz na Zachód, lecz - ulegając w terminie opóźnionym fali, która pod koniec lat czterdziestych niosła grupy młodzieży żydowskiej przez zieloną granicę - całą grupą etniczną Żydów-Polaków.

*

Wróćmy do okresu przed- i popaździernikowego. Gatunkiem dla tych lat typowym jest odwoływanie wczorajszych panegiryków - palinodia. Wynałazcą jest Stesichoros, który pamflet na Helenę trojańską (za co bogowie pokarali go ślepotą) poprawił panegirykiem. Jest to zatem utwór na ten sam temat, lecz o przeciwnym nastawieniu: autor chwali, co ganił, gani, co chwalił; za naszych czasów zwie się to samokrytyką.

Nastał czas pamfletów na wczorajsze bożyszcza. Dopiero teraz śmierć Stalina przynosi literackie owoce: niedawno Ilia Erenburg napisał swą *Odwilż*. „Wiedz, że piszę pamflety” - zapowiada Adam Ważyk w *Posłaniu do przyjaciela* z kwietnia 1955 r.⁵⁵ Zapowiedziany pamflet miał się ukazać wczesną jesienią tegoż roku: był to głośny *Poemat dla dorosłych*.

Zaskakiwało wszystko: i tytuł, odsyłający dotychczasową poezję do szkółki dla dzieci; i osoba autora; i fakt, że go w ogóle - puszczono. Oliwy do ognia miały dolać organizowane na jego temat dyskusje: wszystko składało się na atmosferę politycznej sensacji. Przyjrzyjmyż się sprawie od mało dotąd oglądanej strony - artystycznej.

Rozpoczyna się od zaatakowania tego, co stanowi osiągnięcie lat pięćdziesiątych: odbudowy Warszawy. Psioczono na nią wiele; niemniej - Warszawa stanęła: stanął - pisał Ważyk w 1950 r. - „nasz staromiejski gotyk - nasz renesans i barok - nasz monument surowy”. Lud wszedł - głosił wówczas cytatem ze Słowackiego - do śródmieścia i „ustalił jedność piękna i pracy - planowania i troski” tam, gdzie dotąd był tylko „pokraczny dom czynszowy... trędowate przedmieścia... izby, gdzie po dwadzieścia”⁵⁶.

⁵⁴ Zob. „Kultura” 1981, nr 42.

⁵⁵ Zob. Adam Ważyk *Lud wejdzie do śródmieścia w: Wiersze i poematy*, Warszawa 1957.

⁵⁶ *Poemat dla dorosłych* (tamże).

Właśnie jednak od gloryfikacji „izby, gdzie po dwadzieścia” zaczyna teraz *Poemat dla dorosłych*, oplakując „kamienie szare i wzniosłe prawdziwe - w których dzwoniło wspomnienie”, placyk „w robotniczej dzielnicy, gdzie szare mury srebrzą się od wspomnień”, wreszcie „stary grzbiet czteropiętrowej kamienicy”, który „czeka na wyrok losu”. W obecnej Warszawie widzi tylko „patos pod rękę z tandetą”:

Place się wiją jak kobry,
domy się pysznią jak pawie,
dajcie mi stary kamyczek,
niech się odnajdę w Warszawie.

Pretensje, gdzie metafizyka podszywa się pod politykę. Tamtej Warszawy nikt mu zwrócić nie może, bo - jej nie ma, jeśli by zaś naprawdę chodziło mu o literalną rekonstrukcję, to mógł się przecie przejść po Rynku Starego Miasta, którego „gotyk” sławił pięć lat temu. Czemuż te dziwaczne pretensje - właśnie pod adresem architektury?

Cechę palinodii - przypomnijmy - stanowi przy identyczności tematu odwrotność ujęcia. Autor zaczyna od oplwania architektury nie dlatego, że ta może i na nie zasługuje, lecz że ją dawniej gloryfikował. Stesichoros swą palinodią ratował się od ślepoty fizycznej, jaką zesłali nań bogowie; Ważyk - od ślepoty politycznej, jaką zesłał nań - kto?

Właśnie kto? Bo oto wspólna cecha ówczesnych palinodij: wszyscy ich autorzy - nie tylko Ważyk - zrzucają winę za swe zaślepienie na jakiegoś węża-kusiciela, który namówił ich na dogmatyzm. U Andrzejewskiego Torquemada otumania młodego mnicha argumentami na rzecz wprowadzenia inkwizycji⁵⁷; u K. Brandysa kierownik Instytutu Organizacji Kultury, dr Faul, skłania zapaleńców z teatru „Grenada” do grania propagandowych szmir⁵⁸. U Ważyka pojawiają się anonimowi „oni”, którzy:

Przybiegli, wołali:
w socjalizmie
skaleczony palec nie boli.
Skaleczyli sobie palec.
Poculi.
Zwątpili.

Gdyby zamiast „oni” było „ja”, zmianie uległaby sama problematyka: należałoby wyjaśnić, dlaczego najpierw „wołałem”, później „zwątpiłem”. A może - dajmy na to - „wołałem”, dopóki byłem - do 1954 r. - naczelnym redaktorem „Twórczości”, „zwątpiłem” zaś w chwili, gdy mnie usunięto? Tak czy owak, postawione w osobie pierwszej, zagadnienie skomplikowałoby się niepomniernie i pogłębiło.

Nie do tego jednak, by je pogłębiać, spieszo Ważykowi, lecz -by uwagę odwrócić od siebie, by uderzyć się - możliwie głośno - w cudze piersi. Znika eo ipso możliwość analizy psychologicznej dogmatyzmu, którą mógłby przeprowadzić tylko na sobie samym; znika rozróżnienie między

⁵⁷ Jerzy Andrzejewski *Ciemności kryją ziemię*, „Przegląd Kulturalny” 1957, nr 12-17.

⁵⁸ *Obrona Grenady* l.c.

zakłamaniem a świadomym łgarstwem⁵⁹. Słowem, zagadnienie praktyczne, jak dokonać określonego „posunięcia”, jak możliwie szybko przejść na drugą stronę, zasłania problematykę intelektualną, która dopiero tutaj mogłaby się rozpocząć.

W Poemacie dla dorosłych - by do niego po wrócić - Ważyk narusza jeszcze kolejne ówczesne tabu: budowę Nowej Huty. I znowu pomija sprawę zasadniczą: grzechem pierworodnym była tu niewłaściwa lokalizacja. Zbudowano ją zbyt blisko Krakowa, który miała zatruć w przyszłości wyziewami. O tym niebezpieczeństwie nikt jednak nie myślał; chodziło o napływ elementu robotniczego, który miał odreakcyjnić Kraków.

Ważyk porusza natomiast z naciskiem inne - nieuniknione przy tak masowej migracji - zjawisko: tzw. zepsucie obyczajów. „Chłopcy latają, kotami po murze” i „żeńskie hotele, te świeckie klasztory, trzeszczą od tarła”. Gdzie indziej znów „piętnastoletnie kurewki schodzą po deskach do piwnic”. A w ogóle - świeżo przybyli ze wsi młodzi za wiele sobie pozwalają:

człapią i gwiżdżą w błotnistych ulicach:
wielka migracja, skudłona ambicja,
na szyi sznurek - krzyżyk z Częstochowy,
trzy piętra wyzwick, jasieczek puchowy,
maciora wódki i ambit na dziewczki,
.....
wypchnięta nagle z mroków średniowiecza
masa wędrowna, Polska nieczłowiecza...

Jak na „poemat dla dorosłych” (bo nie dla dorastających przecie), i to - pisany przez człowieka obyczajowo wyzwolonego, sprawy tzw. demoralizacji wychodzą tu zanadto na plan pierwszy. W końcu, naturalia non sunt turpia i wyrzekania starszych panów - spod jakiegokolwiek znaku - nigdy tu wiele nie pomagały.

Bardziej uzasadnione są wyrzekania na funkcjonowanie systemu:

są ludzie czekający na papierek,
są czekający na sprawiedliwość,
są ludzie, którzy długo czekają...

Jeżeli - tak słuszne i oczywiste - zarzuty uznano w swoim czasie za rewelację, to wina spada na cenzurę, której zakazy tak obniżyły poprzeczkę, że dla rewelacji autentycznych - miejsca zabrakło. Stajemy u źródeł ogólnego obniżenia poziomu literatury powojennej: jeżeli stwierdzanie oczywistości staje się odkryciem, to dla odkryć prawdziwych nie ma już miejsca.

Nie dokonał ich też Ważyk w swym *Poemacie*; odkrył co najwyżej karty, starannie dotąd zakrywane - za co cześć mu i chwała! Odkrył je jednak - trzeba powiedzieć również i to - w sposób nieco sztuczny i podrabiany. Nawet gwara ludowa, na którą się tu i ówdzie sady, owa „maciora wódki”, ów „ambit na

⁵⁹ Rozróżnienia tego dokonał u nas po raz pierwszy Rzykowski. Oto co pisałem na ten temat w szkicu *Początki, świetność i upadek rodziny Młodzików*. Rzykowski - wywodzę tam - „twierdził, że Tartuffe - jakim go Moliere przedstawia - jest «zwykłym oszustem» i że sztuka mogłaby nas interesować dopiero wtedy, gdyby jego «udawanie było zarazem prawdą»”. (*Beniaminek*), Warszawa 1934, s. 70) „Wchodzą tu w grę - dodaję - dwa całkiem odmienne pojęcia udawania: przed innymi i przed samym sobą”. (Zob. ZPK, t. III, s. 418-451).

dziewki”, wszystko to jest wymyślone przez człowieka, który - niczym ów starozakonny Sarmata z *Murzyna warszawskiego* Słonimskiego - każe sobie podać na obiad - „szaraka”.

„Jestem próżnią przez którą przebiegają fale” - powie sam o sobie Ważyk w *Żalach przechodnia* (1963). I „może jestem czymś więcej ale nie mam okazji”. Nie, nie okazji brak naszemu przechodniowi; brak mu określonej osobowości. Jego poezja, jak rodziła się, tak i rodzi z naśladownictwa. Jest to twórczość skrzętnego ucznia - to Apollinaire'a, to Maxa Jacoba, to Erenburga, autora *Odwilży*. Postulacie przyjęta była nawet ideologia, której przez lat kilkanaście był tak niezmordowanym głosicielem.

Czyż nie warto przypomnieć cytowanych już w jednym z poprzednich rozdziałów słów bohatera Ważykowskich *Mitów rodzinnych* Ambrodziejewicza, skierowanych do Żyda Maxa Blaufelda. Wierzy pan w twierdzenia matematyczne - mówi Ambrodziejewicz - „bo jako emancypujący się Żyd nie ma pan innej wiary. Siłą kontrastu szacunek pana dla wiedzy ścisłej wzrasta na tle chwiejności we wszelkich innych sprawach”.

Chwiejność, brak tradycji, brak ideologii, skłonność do imitacji, wszystkie te - stawiane asymilującym się Żydom - zarzuty skądś już znamy: czyż nie ze spraw, wytyczanych „kosmopolitom” w groźnym okresie, który zamknął lata czterdzieste? (Warto w nawiasie napomknąć, że termin „kosmopolita”, jak „formalista” pojawiał się wówczas nieraz w wystąpieniach samego Ważyka).

Czyż nie wkraczamy na tamtą niebezpieczną ścieżkę? Czyż nie otwieramy drogi rasizmowi? Nie stawiamy jednak tych zarzutów w sensie rasowym. Miał korzenie - i to jakie! - prasłowiański Leśmian⁶⁰; mieli je - po swojemu - Tuwim i Słonimski. Ale nawet brak tradycji, nieprzynależenie nigdzie, „wytartość” można przez przyznanie się do nich tak odwrócić, aby uczynić z nich potężny motor twórczości. Przykładem - Kafka.

Rozdział VII

TEMATYKA ŻYDOWSKA W LITERATURZE POWOJENNEJ

Po wojnie - powtórzmy raz jeszcze - uczucia społeczeństwa polskiego wobec Żydów ulegają zasadniczej metamorfozie. Stosunek niechęci, uzasadnianej ekonomicznie lub religijnie, teraz zmienia się czy nawet przekształca w swą odwrotność. Oba czynniki - duchowy i materialny - działają wprawdzie nadal, działają jednak w sposób odmienny niż przed wojną.

Jeśli o - materialny chodzi: znikł Żyd jako konkurent w handlu, rzemiośle, wolnym zawodzie, pojawił się - w administracji. Jemu to wypowie w latach sześćdziesiątych wojnę obóz narodowopragmatyczny, obciążając go grzechami okresu minionego. Ten typ antysemityzmu będzie - zgodnie ze swą genezą - szerzyć się głównie w kręgach politycznych.

Jeśli chodzi o czynnik duchowy: chrześcijański allosemityzm może - jak wiemy - obradzać i anty-i filosemicko. Że zaś Żyd po wojnie staje się rzadkością, a jego - ośmieszany dotąd - wygląd, akcent, obyczaj emanują czar egzotyczny, więc uczucie to odwraca się stroną pozytywną: rodzi się zainteresowanie dla tematyki żydowskiej, okupacyjnej, małomiasteczkowej, biblijnej. Modny

⁶⁰ Jest to ironiczne określenie użyte w stosunku do tego poety przez J. I. (Jarosława Iwaszkiewicza) w „Skamandrze” (luty 1922, z. XVII, s. 126).

zwłaszcza wśród inteligencji, filosemityzm ten jest jednak hodowany nadal - jak zobaczymy - na pożywcze wyobrażeń allo- czy zgoła antysemitycznych.

Na razie - by nas nie pomówiono o wszechwybrzydanie - stwierdźmy, że mamy kilka utworów, które - nie popadając w egzaltowany filosemityzm - zajmują wobec sprawy głęboko ludzkie stanowisko. Niektóre wymieniliśmy; przytoczmy teraz wstrząsający fragment dramatyczny Świrszczyńskiej *Człowiek i diabeł* oraz wiersz Szymborskiej *Jeszcze*, który zarzuca społeczeństwu polskiemu obojętność wobec zagłady Żydów. Wspomnienie o tym, jak „w zaplombowanych wagonach” jechały „krajem imiona” przerasta w problematykę aktualną:

Nie skacz w biegu, imię Dawida.
Tyś jest imię skazujące na klęskę,
nie dawane nikomu, bez domu,
do noszenia w tym kraju zbyt ciężkie.

Syn niech imię słowiańskie ma,
bo tu liczą włosy na głowie,
bo tu dzielą dobro od zła
wedle imion i kroju powiek.

Po czym - o obojętności:

Chmura z ludzi nad krajem szła,
z dużej chmury mały deszcz, jedna łza,
mały deszcz, jedna łza, suchy czas.
Tory wiodą w czarny las.

Tak to, tak, stuka koło. Las bez polan.
Tak to, tak. Lasem jedzie transport wołań.
Tak to, tak. Obudzona w nocy słyszę,
tak to, tak, łomotanie ciszy w ciszę.

Wiersz ukazuje ciągłość spraw - wojennych i powojennych. Spotykając się za granicą z zarzutem przemilczania tych ostatnich przez literaturę polską, mogłem się nieraz na ten właśnie utwór powołać. Oskarżycielski wiersz działał - mogę stwierdzić - zawsze na rzecz kraju, gdzie - odważono się go napisać.

Wróćmy do zagadnienia filosemityzmu powojennego. Zdaję sobie sprawę, że - dokonując z nim obrachunku jako z modą - narażam się na zarzut - podgrywania stronie przeciwnej. Sytuacja nie jest po temu - powiedzą mi. - Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy; ani walczyć o imponderabilia, gdy zagrożone są wartości zasadnicze. Zarzuty podobne - przypominam - padały na mnie ze strony przeciwnej w okresie dogmatyzmu.

A jednak kodeks artystyczny i intelektualny winien obowiązywać i w oblężonym mieście; w kraju, który jest poligonem międzynarodowego konfliktu, winne pozostać możliwe - literatura i krytyka literacka. Racją bytu tej ostatniej jest prawo do stosowania kryteriów jak najsurowszych wobec pisarzy - o choćby najszlachetniejszych intencjach.

Z tą myślą przystępuję do oceny wymienionych powyżej odgałęzień tematyki żydowskiej: okupacyjnego, małomiasteczkowego, biblijnego. Wyczerpujące potraktowanie odnośnych autorów nie leży jednak w moich możliwościach; mogę jedynie zastosować raz jeszcze „selekcję Noego”⁶¹, wybierając z każdego gatunku po jednym okazie reprezentatywnym.

1. Piewca pięknie ginących

Dwaj pisarze, których zainteresowania te wyniosły nader wysoko, to Adolf Rudnicki i Julian Strykowski: pierwszy - znany głównie jako piewca okupacji, drugi - przedwojennego miasteczka. Zasługi tamtego są niezaprzeczalne. Po raz pierwszy - mówiłem o najlepszym z jego opowiadań, jakim jest *Wielki Stefan Konecki*, w szkicu *Bez taryfy ulgowej*⁶² - pisarz-Żyd przemawiał jako Żyd do publiczności polskiej”. Wbrew opinii pamfletu, jaką studium moje zyskało, przyznaję Rudnickiemu zaletę autentyczności, tak odbijającą od środowiska „Kuźnicy”; chwałę go za zdjęcie tabu z tematyki żydowskiej.

Nie od 1945 r. dopiero pisze o niej. Jakkolwiek debiutował w 1932 r. pod pseudonimem „Rudnicki” (co ułatwiało wówczas pierwsze kroki), to już w - pełnym scen z życia chasydów - przedwojennym *Lecie* czuje się, że to jego temat. I rzeczywiście, w radzieckim Lwowie (1939-1941) powstaje *Józefów i Koń*, których bohaterowie to kopie - tak drogiego sercu Żydów-komunistów - Izaaka Gutkinda⁶³.

Po - spędzonej częściowo we Lwowie, częściowo w Warszawie - wojnie, Rudnicki osiada w zastępczej stolicy, jaką jest wówczas Łódź, gdzie funkcjonuje czas jakiś jako pisarz półoficjalny, wypełniający wszelkie postulaty ówczesnej propagandy: wzywa do powrotu żołnierzy armii Andersa⁶⁴; oskarża brytyjskie władze okupacyjne o - wygładzanie strefy zachodniej Niemiec⁶⁵; wybrzydza się na Zachód i jego sztukę⁶⁶; odradza emigrowanie do Izraela, znad morza żywego - jak pisze - nad Morze Martwe⁶⁷; ba! podkreśla swój brak więzi z żydostwem i ekskluzywny patriotyzm polski⁶⁸.

Wszystko to nie przeszkadza, że najgorętszy odzew budzą właśnie opowiadania żydowskie. Część administratorów powojennej Polski odnajduje we wspomnianych już nowelach Józefów i Koń własną przeszłość. W ogóle zaś - działają one jako katalizator świeżo obudzonego filosemityzmu. Z wyrazami uznania dla nich śpieszy i partyjna „Kuźnica”, i katolicki „Tygodnik Powszechny”; i wszechchwalca Matuszewski, i wszechwybrzydacz Sandauer. Czytana na wieczorze literackim w Łodzi *Kartka znaleziona pod murem straceń* robi wrażenie wstrząsające. Kończy się ona hołdem oddanym pamięci tych pisarzy, którzy zginęli, nie zdążywszy wypowiedzieć się do końca. „I nachyleni nad tymi drżącymi, bratnimi sercami, których słowo, poczęte w męce, pozostało bełkotem - zadrżycie!”

⁶¹ Po raz pierwszy użyłem tego określenia w *Ewolucji polskiej poezji 1945-1968* (ZPK, t. I, s. 324-364).

⁶² Pierwodruk „Kultura”, Paryż, sierpień 1957. Przedruk „Życie Literackie” 1957, nr 30, (ZPK, t. III, s. 387-410).

⁶³ Z wiersza *Księżyc ulicy Pawiej* Władysława Broniewskiego.

⁶⁴ *Major Hubert z armii Andersa*.

⁶⁵ W *Ucieczce z Jasnej Polany* Anglicy spierają się z Amerykanami o prawo do pochowania wielkiego pisarza niemieckiego Klausa Hofera, zmarłego na emigracji. Pierwsi „nie bardzo mając czym karmić swoją strefę, chcą jej dać przynajmniej parudniową pompę żałobną”. Drudzy chcą się wyrzec „kompletowania (?) zwłok Hofera jedynie za cenę pewnych awansów w składzie dyrekcji przemysłu stalowego”.

⁶⁶ „(...) to, co robi Zachód w większości wypadków przestało (nas) interesować” – czytamy w *Ignasiu Łeku*.

⁶⁷ *Żywe i martwe morze*. Niechęć do wyjazdu z Polski motywuje pisarz - panującą tu swobodą stosunków erotycznych. „Czy jest miłość między dwojgiem ludzi, której ten ustrój stanąłby na wspak (!)?” pyta.

⁶⁸ „Uważam się zawsze przede wszystkim za Polaka, reszta to moje zawiłe sprawy” – pisze w *Wielkim Stefanie Koneckim*.

Dziś - czytając zakończenie na nowo - wyczuwamy w nim zapowiedź raka, który zacznie niebawem toczyć tę twórczość. Miliony zginęły, a Rudnicki - zauważa tylko tragedię literatów, którzy nie dopisali ostatniego słowa. Z czasem ów „literatocentryzm”, który jest w gruncie rzeczy egocentryzmem, rozrośnie się, pożerając inne tkanki. „W atmosferze bezgranicznego uwielbienia, jakim otoczyło go łódzkie środowisko artystyczne - piszę w *Bez taryfy ulgowej* - zaczęły się w tej twórczości dokonywać charakterystyczne przesunięcia: jej terenem stają się coraz częściej domy literatów, przedmiotem zaś - zawodowe rywalizacje, cotygodniowe notowania «faworytów» na krytycznej giełdzie”.

Szczyty osiąga ów narcyzm w *Pałeczce, czyli Każdemu to, na czym mu mniej zależy*. Jest to coś - piszę - „w rodzaju feerii, gdzie wszelkie narcystyczne życzenia, wszelkie sny o tym, aby «ludzie leżeli u stóp pisarza», doznają nieskrępowanej realizacji Wątpię, czy literatura światowa zna profuzję zachwytów, podobną do tej, jaka rozlega się tu na cześć «pięknego Gabriela», autora granej we wszystkich teatrach i rozbrzmiewającej ze wszystkich głośników sztuki *Każdemu to, na czym mu mniej zależy*. Identyczność tytułu sztuki z podtytułem *Pałeczki* zawiera subtelny aluzję, że identyczni są również ich twórcy; w ten sposób wszystkie komplementy, skierowane do «pięknego Gabriela», inkasuje sam autor”.

„Narcyzm - powie jednak ktoś - to choroba niemal zawodowa; dlaczego akurat na twórczość Rudnickiego miałyby wpłynąć aż tak zgubnie?” Dystans lat pozwala odpowiedzieć i na to pytanie. Nie o samo „łódzkie środowisko artystyczne” tu chodzi. Problem jest szerszy i dotyczy zmienionego stosunku do Żydów znacznej części inteligencji polskiej, dla której Rudnicki staje się tej sprawy reprezentantem.

Omyłką, która spowodowała załamanie się tej - w końcu niepośledniej - twórczości, było, że falę filosemickich uczuć przyjął na własne konto, stając się rodzajem martyrologicznej primadonny. W istocie, rośnie w tych opowiadaniach z biegiem czasu element kokieterii: dowody dają w swoim „pamflocie”. Rudnicki - piszę tam - „produkuje mity społeczne na użytek pensjonarek”. Dziś zarzut można uściślić: przedmiotem mitu są „wyzłacani w pamięci” Żydzi, za których symbol uważa - samego siebie.

Mamy tu - tak częstą w zjawiskach socjologicznych - grę wzajemnych uwarunkowań. Twórczość ta i stoi u początku filosemickiej mody, i jest jej wynikiem; Rudnicki to - i koryfeusz, i wytwór środowiska, które przeniesie się niebawem z Łodzi do Warszawy; i koryfeusz, i produkt owego „Wersalu, który - jak niegdyś pisałem - w latach 1945-1947 powstał w łódzkim domu literatów...”

2. Piewca brzydko mówiących

Wytworem innych z kolei uwarunkowań jest małomiasteczkowa twórczość Juliana Strykowskiego. Jeżeli Rudnicki grawitował - jak pisaliśmy - od początku ku tematyce żydowskiej, by po okupacji uczynić z niej swój motyw centralny, to droga twórcza tego drugiego jest bardziej skomplikowana. Po informacji sięgnijmy do *Słownika pisarzy polskich*.

Dowiadujemy się stamtąd, że opublikował w 1937 r. przekład z Celine'a pod pierwotnym nazwiskiem P. Stark; że później pracował w wydawanych w Związku Radzieckim pismach polskich: we lwowskim „Czerwonym Sztandarze” (1939-1941) i w moskiewskiej „Wolnej Polsce” (1943-1946), aby po powrocie do Polski rozpocząć działalność redaktora PAP-u w Katowicach, Warszawie, wreszcie - w Rzymie. Wydalony stamtąd w 1952 r. w związku z wydaniem „Biegu do Fragał”, powieści o walce

komunistów włoskich, uznawany jest po powrocie do Warszawy za jednego z pisarzy najbardziej ortodoksyjnych⁶⁹.

Tematykę żydowską odkrywa w 1955 r. Opublikowane przez „*Twórczość*” (z. 4-7) *Głosy w ciemności* zostają przyjęte entuzjastycznie przez krytykę tegoż miesięcznika⁷⁰. Publikacja *Głosów* przypada na ten sam mniej więcej czas, co *Poematu dla dorosłych* Ważyka i *Obrony Grenady* Brandysa i ma podobny charakter - palinodii.

Również i *Głosy w ciemności* to rodzaj pośrednio przeprowadzonej samokrytyki: nawrót od twórczości wymuszonej do autentycznej. Prawda, z żydowską tematyką kłóci się teraz przybrane w ZSRR pod presją tworzącej się tam elity starszylacheckie nazwisko. Zjawisko jest ogólniejsze: od 1955 r. wielu Żydów-komunistów zaczyna na nowo odkrywać swe żydostwo. Dla niektórych skończy się to emigracją; dla Strykowskiego - pograżeniem się w świecie dzieciństwa.

Czemu przypisać entuzjastyczne przyjęcie, z jakim powieści jego się spotykały? Akcja nie wciąga, wartość myślowa jest niewielka: nic się tu nie dzieje, nikt nie ma nic godnego uwagi do powiedzenia. Za to każda stronica, ba! każde zdanie zawiera - językowy lub obyczajowy - rodzynek, który potwierdza mniemanie czytelnika, że Żydzi są tacy inni.

Jacy inni? Od strony wyglądu są to postaci mało pociągające: w przeciwieństwie do Rudnickiego uprawia on coś w rodzaju „żydowskiego turpizmu”. Od strony języka używają raz po raz idiomów wyjątkowo odrażających w rodzaju „niejeden zielony robak z ciebie wylezie”⁷¹ albo „co ciebie nagle ugryzła jakaś pchła w prosty poniedziałek”⁷², co należy sobie wyobrazić wygłoszone z odpowiednim zaciąganiem.

Spróbujmy postawić sobie pytanie, w jakim języku mówiły pierwowzory. Nie po polsku chyba; musiałyby zadawać sobie trud nadludzki, by tak bezustannie koślawić polszczyznę. Rzecz jednak w tym, że mówiły one bezbłędnie - tyle że po żydowsku. Ich poprawne „jidysz” tłumaczy jednak Strykowski na pokraczną polszczyznę - po to, by uwydatnić egzotykę i postaci, i sposobu ich mówienia.

Wrażenie obrzydliwości, jakie budzą cytowane wyrażenia, było jednak dla ludzi, posługujących się naturalnie tym językiem, niewyczuwalne, podobnie jak Francuz w powiedzeniu „tira les vers du nez” (dosł. „wyciągać robaki z nosa”) nie zauważa „robaków”, słyszy zaś jedynie znaczenie „wybadać kogoś” czy „wysondować”.

Dowód owego „żydowskiego turpizmu” można by równie dobrze, co na warstwie językowej, przeprowadzić i na - obyczajowej: każdy szczegół działa jedynie na zasadzie swej egzotyczności, co stanowi - jak wiadomo - cechę wszelkiej sprzedażowej tandety, wszelkich „perskich jarmarków”.

Zapyta ktoś, czy te ciuchy są przynajmniej autentyczne. Niestety, nie są. Informacje o Żydach bywają nieraz wysane z palca: aby zmówić modlitwę pośmiertną, kadysz, trzeba - według *Przybysza* z

⁶⁹ Jako tępicieła „odchylenia formalistycznego” ukazuje go w zabawnej scenie *Autoportretu z pamięci* Henryk Vogler (Kraków 1981, t III, s. 129-130).

⁷⁰ Zob. Zbigniew Bieńkowski „*Głosy w ciemności*” Juliana Strykowskiego, „*Twórczość*” 1956, z. 2.

⁷¹ Julian Strykowski *Głosy w ciemności*, Warszawa 1956, s. 36.

⁷² Tamże, s. 48.

Narbony - co najmniej dziesięciu osób⁷³. Otóż nic podobnego! Gdyby w miejscowościach mało zaludnionych przez Żydów czekać z pogrzebem na pojawienie się aż dziesięciu osób, ileż to zwłok leżałoby nie pochowanych! Nie modlitwa pośmiertna, lecz zwykłe nabożeństwo wymaga obecności dziesięciu osób (tzw. minjan).

„Na wszystkie «tajku» (kwestie nie rozwiązane - A.S.) odpowie Mesjasz - czytamy w *Głosach w ciemności*⁷⁴. Otóż nic podobnego! Kwestie te rozwiąże nie Mesjasz, lecz prorok Elias, rodem z Tyzbe, czyli Tyzbejczyk. To właśnie oznacza „tajku”, złożone z inicjałów „Tiszbi Jiszpot Kuszioth Ubaajoth” (Tyzbejczyk rozstrzygnie zagadnienia i problemy).

„Wszystko to razem - czytamy w „Austerii”⁷⁵ - ma trwać sześć tysięcy lat. Chaos trwał dwa tysiące lat, nasz świat będzie trwał dwa tysiące lat, od nadejścia Mesjasza do końca świata też będzie dwa tysiące lat”. Otóż nic podobnego! Era żydowska liczy się od stworzenia świata: obecnie mamy rok 5682. Ani początku chaosu (który musiałby w takim razie być datowany), ani trwania świata po przyjsciu Mesjasza chronologia ta uwzględnić nie może.

Słowem, powieści Strykowskiego to podrabiany autentyk, w który wkalkulowane jest „spojrzenie goja”, jego niewiedza, jego łączywość na egzotykę, jego - pełne może najlepszych chęci, ale wywodzące się z czasów pogardy - wyobrażenie o Żydach jako o prostaczkach, o ich języku - jako o - z samej swej istoty niepoprawnym, pozbawionym gramatyki i ustalonego słownictwa, ponadto zaś dość obrzydliwym - żargonie. Jest to, słowem, próba, aby stworzyć całość filosemicką z pojęć allosemickich.

Allo- czy anty-? Ścisłe rozgraniczenie trudno przeprowadzić. Współczesna nasza literatura obrodziła - poza Strykowskim - sporą ilością utworów, które - powstałe w zamiarze służenia sprawie humanizmu - zdradzają mimo woli, że autor żywi się wyobrażeniami, czerpanymi ze starego antysemickiego zbiornika⁷⁶. Toć i wielki Tuwim patrzył niekiedy i na siebie, i na innych Żydów spojrzeniem demonizująco-allosemickim: pisaliśmy o tym powyżej.

3. Autor! Autor!

Zajmijmy się trzecim z kolei pisarzem, z rzadka tylko prozę uprawiającym: jak na prozaika jest zbyt - abstrakcyjny, zbyt mało przywiązuje wagi do konkretnego. Jego opowiadania - okupacyjne i przedwojenne - nie wywołały też spontanicznego odzewu, jaki towarzyszył tamtym. Największe zainteresowanie budził krytyk o tematyce - zasadniczo polskiej.

⁷³ Julian Strykowski *Przybysz z Narbony*, Warszawa 1978, s. 19.

⁷⁴ Julian Strykowski *Głosy w ciemności*, op. cit., s. 39.

⁷⁵ Julian Strykowski *Austeria*, Warszawa 1966, s. 88.

⁷⁶ Przypomnijmy - z tejże parafii - wiersz *Płacz Żyda* Stanisława Grochowiaka, gdzie autor - może i w najlepszej intencji - ukazuje, „jak to (...) Żyd, grzebiąc córkę, boleje głównie nad tym, że «ząbek miała szczeroty»», przy okazji zaś chce uczynić geszeft z ziemią. Do tego miłego handelku Rachel - matka przypuszczalnie - dodaje swoje «po czemu». «Psu ustąpię z drogi» - «Ludziom ręce będę lizał» - «wszy otoczę służebnością» - oto jak charakteryzuje siebie ów Żyd”. (Cytat, zapożyczony z mojej *Ewolucji polskiej poezji 1945-1968*, gdzie utwór Grochowiaka jest w całości przytoczony). Wierszem tym - jako „utworem pełnym ludzkiego współczucia” - zachwyca się w *Rzeczy wyobraźni* (Warszawa 1959, s. 259) Kazimierz Wyka, który dostrzega oczywiście jego antysemickie elementy, lecz - w pełni je akceptuje. Utwór - przyznaje - napisany jest „w zły i śmieszny polszczyźnie”, w „zwrotach, które były argumentem zoologicznym antysemitów”, lecz „właśnie ten kontrast czyni ujęcie istotnie nowym...” etc. Wiersz budzi jednak nie „ludzkie współczucie”, lecz odrazę: mimo woli wyszło antysemickie sztyło z filosemickiego worka.

Mowa, oczywiście, o Arturze Sandauerze, którego - mimo dość intymnych z nim kontaktów - nie możemy tu pominąć. Jest to osobowość wyraźnie pęknięta, o czym świadczy chociażby wspomniana dwoistość twórczości, skoncentrowanej - jeśli o biografię chodzi - na tematyce żydowskiej, jeśli o krytykę - na kulturze polskiej (choć i ten podział zatarty przez wydaną ostatnio książkę o Biblii).

Niemniej - dwoistość pozostaje. Przedwojenne - tym bardziej zaś okupacyjne - dzieje Sandauera to historia prześladowanego za swe pochodzenie Żyda. Jako pisarz natomiast jest kimś bardzo - może nadto? - polskim z języka: jego puryzm ma w sobie coś neofickiego. Ta polskość jest jednak - środkowoeuropejska, austriacka. Urodził się jeszcze pod Franciszkiem Józefem, kształcił - w jednym z klasycznych gimnazjów galicyjskich.

Jeśli - powtarzamy jego biografia jest zdecydowanie żydowska, to krytyka koncentruje się wokół kultury polskiej oraz antyku (wzbogaconego ostatnio o Biblię). Klasyczne „nihil nimis” nakłada się u niego na odziedziczony po przodkach fanatyczny temperament. Wynikła osobowość sprzeczna: moderantysta-pasjonat, ktoś, kto głosi namiętnie klasyczne umiarkowanie, kto z przesadą walczy o - brak przesady.

Dwoistości tej Sandauer nigdy nie przewyciężył, problemu samookreślenia nie załatwił. W ogóle - sprzeczności swoich nie rozstrzyga; poddaje je tylko analizie. Nie rozstrzygnąć można też po nim oczekiwać, lecz jedynie - wyjaśnić. Jest zawieszony zawsze w wahlowej równowadze. Stąd też obce mu są - przełomy duchowe, właściwe jego kolegom. Wnioski ma za niego wyciągać czytelnik; on - znajdzie zawsze manewr, by uniknąć decyzji, by zachować konsekwencję w nieokreśloności, stanowisko - jedno i żadne.

Czyżby i ta niechęć do przełomów miała w sobie coś żydowskiego? Wszystkie inne narody europejskie przeżyły nawrócenie na chrześcijaństwo, które pogrążyło przeważnie dotychczasową ich kulturę w niepamięć. Tylko Żydzi na nic się nie nawracali, niczego nie zapominali. Że jednak prastara religia wymagała unowocześnienia, więc wciąż wynajdywali rozmaite manewry, by przy zmienionej treści zachować nie zmienioną formę.

Formalną jednolitość osobowości zachowuje i Sandauer: sens jego wypowiedzi pozostaje obiektywny, bezstronny, **neutralny**. Jemu chodzi o coś innego: o ukazanie struktury, o opis sytuacji. Jeżeli jest nie tylko krytykiem, ale i tłumaczem poetyckim, to chyba dlatego, że brak określonych treści uczuciowych zastępuje wirtuozerią formalną.

Trwając wciąż w stanie wahlowej równowagi, wszelki wybór uważa za naiwność. Właśnie przez ów brak odpowiedzi na pytania czytelnika może zainteresować jako pisarz. Jako człowiek jest natomiast postacią w podwójnym tego słowa znaczeniu niemożliwą: bo i nie do zniesienia, i nieprawdopodobną.

Na niemożliwości zasadza się też - najbardziej charakterystyczna dla jego prozatorskiego dorobku - opowieść *Pamiętniki Mieczysława Rosenzweiga*. Bohater, zbudowany z dwu nienawidzących się połówek, o nazwisku, wyglądzie, biografii - żydowskich, o imieniu, kulturze i estetyce - polskich, jest sprzecznością wcieloną.

Z jednej więc strony żydostwa swego nie akceptuje i - właściwie - chciałby je ukryć; z drugiej - opowiada o nim w pierwszej osobie, czyli ukryć go nie chce. Opowieść likwiduje samą siebie. Gdyby

Rosenzweig chciał ukryć swe żydostwo, nie mówiłby o nim; gdyby był dość niemądry, aby się go wstydzić, nie byłby dość mądry, aby je eksponować.

Za sprzecznościami, które opowieść tę rozsadzają, kryje się inna -.głębsza. Oto w myśl pojęć allosemickich Żydzi to naród świętoprzeklęty, naród-Lucyfer: jest tu czego się wstydzić, jest i z czego być dumnym. Rosenzweig,- który eksponuje, co chciałby ukryć, to ostatni reprezentant tamtej magicznej ambiwalencji: po nim przyjdą już albo czyści Polacy, albo czyste „sabry”. Sprzeczność, na której zasadza się jego osobowość, otwiera pod opowieścią lej samozaprzeczenia, który ją pochłania.

Podobny paradoks leży i u dna tego studium. Asymilacja, której dzieje na przykładach paru pisarzy polskich usiłowaliśmy nakreślić, okazuje się -- właściwie - niemożliwa. Do żydostwa swego nie można mieć stosunku obojętnego: dziedzictwo zbyt ciężkie, by można przejść nad nim do porządku. Można tylko - albo się go zaprzeczyć, albo je eksponować. Da to w pierwszym wypadku osobowość nieautentyczną i wytartą, w drugim - samonienawidzącą i autodemonizującą. Jak twórczość Tuwima, tak i pamiętniki Rosenzweiga kończą się - autodemonizacją.

Z nienawiści do siebie leczył się Tuwim humorem, owym „ha, ha, hi”, którym zamyka się *Wizyta*. Rosenzweig leczy się z niej samoświadomością. „Asymilacja się nie udała, za to udała się poezja” - pisaliśmy powyżej o Tuwimie. Podobnie brzmiałyby i ocena Sandauera: „Asymilacja okazała się niemożliwa; za to możliwa się okazała - analiza jej niemożliwości”.

Czy zatem - możliwa jest książka niniejsza?

Spis treści

Rozdział I PREHISTORIA ZAGADNIENIA	3
1. Sprecyzowanie tematu	3
2. Geneza antysemityzmu	5
3. Stosunek do Żydów w dawnej Polsce	6
Rozdział II ŻYDZI W POLSCE XX WIEKU	8
1. Przed pierwszą wojną światową	8
2. W Polsce międzywojennej	9
3. Żydzi-Polacy i ich kulturalne znaczenie	11
Rozdział III LITERATURA MIĘDZYWOJENNA	12
1. Julian Tuwim, czyli Żyd-allosemita	13
2. Antoni Słonimski, czyli postęp umiarkowany	15
3. Bruno Schulz, czyli pisarz polski o podświadomości starotestamentowej	18
Rozdział IV ŻYDZI W LITERATURZE CZASU OKUPACJI	19
1. <i>Wielki Tydzień</i> Jerzego Andrzejewskiego, czyli dwie redakcje jednego utworu	20
2. Czesław Miłosz, czyli poczucie współodpowiedzialności za zagładę	22
3. Mieczysław Jastrun, czyli spowiedź „marana”	23
Rozdział V LWÓW 1939-1941. FRONT WSCHODNI PIERWSZE LATA POLSKI LUDOWEJ	24
1. Odrodzenie przez Syberie	26
2. Awangardzista w mundurze	28
3. „Wściekli czerwoni encyklopedyści”	31
Rozdział VI NA MIĘDZYNARODOWEJ SZACHOWNICY	33
1. Kultura pod podwójnym mecenatem	33
2. Pośmiertne życie żydostwa polskiego	35
3. Spod mecenatu krajowego pod - zachodni	38
Rozdział VII TEMATYKA ŻYDOWSKA W LITERATURZE POWOJENNEJ	42
1. Piewca pięknie ginących	44
2. Piewca brzydko mówiących	45
3. Autor! Autor!	47

Nakład 30 320 egz. Ark. wyd. 4,3; Ark. druk. 6,25.
Papier druk. m/gł., kl. IV, 65 g, 82X104.
Oddano do składania 1 IX 1982 r.
Podpisano do druku 28 X 1982 r.
Druk ukończono w listopadzie 1982 r.
Zakłady Graficzne w Toruniu
Zam. wyd. 540; druk. 1368. Z-96.
Cena zł 40,-
Printed in Poland
Cena zł 40,-

